NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie w miejscu 1456 — Marek, z przes. 1482 — Mk. Półrocznie 2964 — Mk. Rocznie 5928 — Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 20., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 50.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 120 Marek.**

Rok XIX. Kraków, 5 sierpnia 1922. Nr. 31.

Zdemaskowanie pruskiego rabusia



Kapitan du Bellay rozpoznaje w szkatułce, ofiarowanej przez v. Hartmanna pani Hartwigsen, pamiątkę rodzinną skradzioną w r. 1914, przez Niemców w ich zamku w Szampanii.

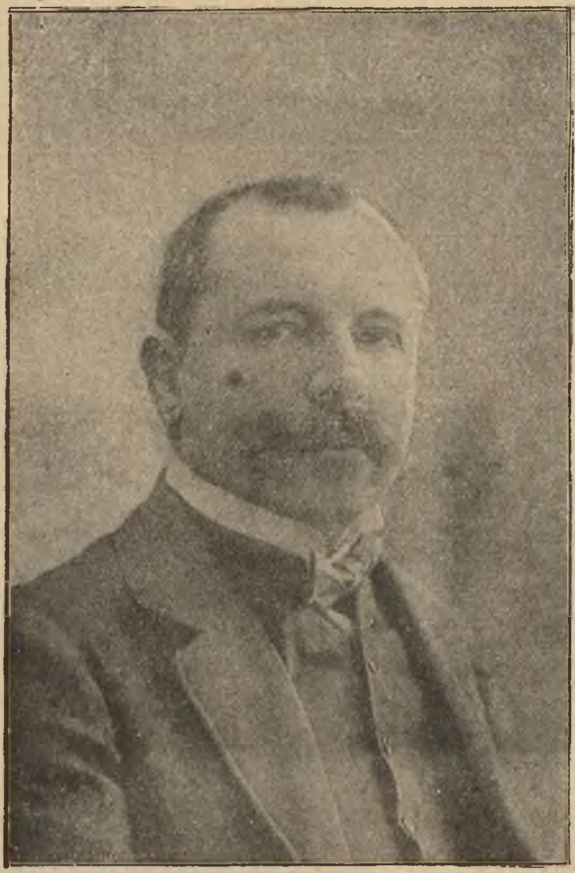
Zdemaskowanie pruskiego rabusia.

(Do illustracyi tytułowej).

Jak Niemcy gospodarowali podczas wojny na obszarach przez siebie zajętych wie świat cały. Nawet członkowie najwyższych rodzin nie wahali się wyciągnąć rękę po cudzą własność, tłómacząc sobie, że to uświęcony zwyczajami łup wojenny, a nie zwykła kradzież.

Epilog podobnego zajścia na ziemi francuskiej rozegrał się obecnie po kilku latach w Sztokholmie na salonach niejakiej p. Hartwigsen, o której względy ubiegali między innymi były francuski kapitan du Bellay i niemiecki porucznik von Hartmann, uczestnicy ostatniej wojny.

Obaj panowie spoglądali na się niechętnem okiem, co tłómaczono zarówno nienawiścią rasową,



Rektor Uniw. Jag. prezydentem ministrów: Prof. dr Julian Ignacy Nowak.

jak i wspólnym celem obecnych zabiegów, jako ludzie dobrze wychowani nie dawali tego jednak poznać po sobie.

Tak było aż do dnia imienin p. Hartwigsen. Wszyscy jej wielbiciele pospieszyli w tym dniu z życzeniami i podarunkami, z których najwspanialszym była prześliczna szkatułka hebanowa, inkrustowana srebrem i perłową masą ofiarowana przez porucznika Hartmanna. Gdy zebrani oglądali ją, nie szczędząc wyrazów zachwytu, podszedł do stołu i kapitan du Bellay, a gdy zwrok jego padł na drogocenne cacko, zbladł, a po chwili zwrócił się do Hartmanna z zapytaniem, czy w ciągu ostatniej wojny był w Szampanii. Na twierdzącą odpowiedź zapytał du Bellay w dalszym ciągu, czy przypomina sobie pewien zamek nad Marną, a w nim młodą kobietę, która nie mogąc się opędzić zamachom na swą cześć brutalnego Niemca, w nurtach rzeki szukała ratunku.

Teraz z kolei zbladł Niemiec i — próbując się tłómaczyć — mówił, że prosił ją o jej rękę, w odpowiedzi zaś usłyszał obraźliwe dla siebie słowa.

— A teraz ja ponawiam tę zniewagę!... — zawołał du Bellay, a ręka jego spadła z łoskotem na twarz Prusaka.

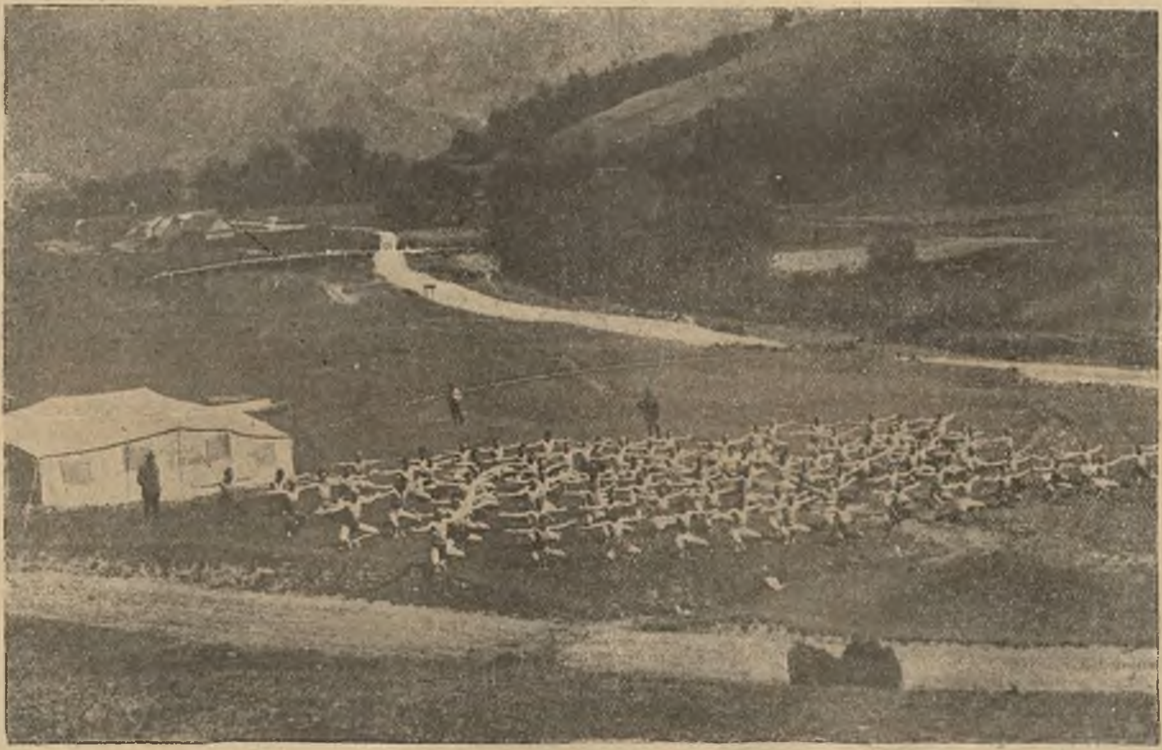
— Ta kobieta była moją siostrą, a ta szkatułka skradzioną została wówczas w mym rodzinnym zamku, ogołoconym ze wszystkiego przez pruskie żołdactwo... Oto herb rodzinny du Bellay!...

To rzekłszy, otworzył szkatułkę i wskazał na umieszczony wewnątrz herb rodziny du Bellay, opatrzony jej inicyałami.

Zajście wywołało łatwo zrozumiałe poruszenie wśród zgromadzonych, na Niemca spoglądano z pogardą. Nazajutrz odbył się pojedynek między kapitanem du Bellay, a porucznikiem Hartmannem, z którego ten pierwszy wyszedł lekko ranny, pruski rabuś zaś z przestrzelonym nosem i policzkiem.



Fizyczne wychowanie młodzieży: Ogólny widok Obozu wakacyjnego dla młodzieży szkolnej w Rytrze obok Starego Sącza, zostającego pod kierownictwem por. M. Wyroda (x).



Fizyczne wychowanie młodzieży: Ćwiczenia gimnastyczne wychowanków Obozu wakac. w Rytrze.



Fizyczne wychowanie młodzieży: Wychowankowie Obozu wak. w Rytrze podczas ćwiczeń wojsk. pod kierunkiem por. F. Kwaśnika.

Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prezydentem ministrów.

Dwumiesięczne przesilenie gabinetowe, wybuchłe z chwilą ustąpienia gabinetu Ponikowskiego, a nie załatwione powołaniem do steru rządów p. Śliwińskiego, a następnie Korfantego, doczekało się nareszcie rozwiązania. Komisya Główna na wniosek posła Rataja zlikwidowała swą ostatnią uchwałę, powierzającą utworzenie gabinetu p. Wojciechowi Korfantemu, o czem niezwłocznie zawiadomiono Na-

czelnika Państwa, prosząc go o inicyatywę przy tworzeniu nowego gabinetu. Naczelnik Państwa w odpowiedzi na tę propozycyę podał projekt powierzenia stanowiska prezydenta ministrów rektorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Julianowi Ignacemu Nowakowi, a kandydaturę tę przyjęła Komisya Główna niezwykłą u nas większością głosów, bo 240 przeciw 184. Za nią oświadczyły się grupy lewicy i centrum wraz z innemi drobniejszemi, przeciw — skrajna prawica.

Wobec tego wyniku Naczelnik Państwa wystosował do rektora Nowaka pismo, powierzające mu misyę utworzenia nowego gabinetu, ten ją zaś przyjął, przystępując niezwłocznie do utworzenia Rady ministeryalnej, w skład której wchodzą przeważnie członkowie ostatniego gabinetu Ponikowskiego i Śliwińskiego. Ma to być zatem gabinet nieparlamentarny, którego zadaniem głównie przeprowadzenie nowych wyborów do Sejmu i Senatu, rozpisanych na listopad.

U nas jednak trudno ludzi zadowolić. Do ostatniej niemal chwili podnosiły się z różnych stron głosy, aby Sejm Konstytucyjny ustąpił raz już miejsca prawowitemu sejmowi, dziś, gdy ogłoszono nań wyrok śmierci, odzywają się narzekania, iż go za wcześnie uśmiercono, należało bowiem przeczekać, dopóki nie zostanie definitywnie załatwioną sprawa naszych granic wschodnich, w szczególności zaś przynależności byłej Galicyi wschodniej. Jest w tem może i racya, te skrupuły trzeba jednak było podnieść wcześniej, a nie występować z nimi, gdy rozwiązanie Sejmu zostało już ostatecznie postanowione.

Nowy premier, którego powołanie do steru rządów powitane zostało na ogół życzliwie, w najbliższych dniach ma wygłosić w Sejmie swe *expose*, którego główną treścią będzie, iż dołoży starań, aby wybory odbyły się legalnie, a sprawy państwowe weszły na normalne tory.

Rektor dr. Julian Nowak pochodzi z Oświęcimia, nauki średnie i wydział medyczny ukończył w Krakowie, gdzie po uzyskaniu stopnia doktora wszech nauk lekarskich pełnił obowiązki asystenta przy katedrze anatomii patologicznej. Po odbyciu kilkuletnich specyalnych studyów z dziedziny bakteryologii w Wiedniu i Paryżu powrócił do kraju i uzyskał docenturę, a niedługo potem katedrę weterynaryi i bakteryologii na Uniwersytecie Jagiellońskim, zapisując się bardzo dodatnio w rocznikach krakowskiej *Almae Matris*, jako wybitna siła naukowa i doskonały pedagog. Zaufanie kolegów powołało go na stanowisko rektora krakowskiej wszechnicy na rok 1921/22, wybór ten obecnie powtórzono i na następny rok uniwersytecki. Pozatem czynny był prof. Nowak w krakowskiej Radzie miejskiej, w której był jednym z wiceprezydentów, po wybuchu wojny przez kilka miesięcy był komisarzem rządowym krakowskiej gminy. Dla Centrali odbudowy kraju, którą przez pewien czas kierował, położył wielkie zasługi, owocną również była jego działalność na stanowisku prezesa Towarzystwa Lekarskiego i Tow. Rybackiego oraz wiceprezesa Krakowskiego Tow. Rolniczego.

Fizyczne wychowanie młodzieży.

O ile rok szkolny przeznaczony jest na wykształcenie umysłowe młodzieży, o tyle czas wakacyjny służyć ma na wypoczynek i nabranie sił do dalszej pracy, rozpoczynającej się znów w jesieni. Wskazanem jest zatem, aby młode pokolenie spędzało wakacye na świeżem powietrzu, używając wiele ruchu, wpływającego korzystnie na wzmocnienie organizmu, nadwątlonego dziesięciomiesięcznem przebywaniem w dusznej miejskiej atmosferze i nie zawsze odpowiadającym wymogom hygieny w budynkach szkolnych. Czas ten jednak nie może być spędzony zupełnie bezczynnie, należy starać się o to, aby, o ile się to da uskutecznić, połączyć przyjemne z pożytecznem, to jest umożliwić młodzieży pobyt na świeżem powietrzu w takich warunkach, aby z tego odniosła korzyść



Kursy uzupełniające dla nauczycielstwa szkół powszechnych: Kurs robót ręcznych w Żurawnie.



Kursy uzupełniające dla nauczycielstwa szkół powszechnych: Kurs robót w Żydaczowie.

i ona sama i ogół. Po raz pierwszy w roku bieżącym przeszczepiono na nasz grunt instytucyę, znaną i wypróbowaną już dawniej w innych państwach, mianowicie tak zwane „Wojskowe obozy letnie przysposobienia rezerw“.

Miano to brzmi może zbyt wojowniczo i zraża niejednego w czasach, gdy się mówi o ogólnem rozbrojeniu, niechaj jednak nikt nie żywi obawy i z całem zaufaniem powierzy młodzież ich opiece, nie chodzi tutaj bowiem o zabijającą ducha militaryzacyę naszego społeczeństwa na wzór pruski, lecz wytworzenie dla młodego pokolenia środowisk, w których ono, używając wakacyjnych wywczasów, równocześnie organizowało się także i przygotowywało na przyszłych obrońców swego kraju. Usposobieniu młodzieży, zwłaszcza polskiej, odznaczającej się rycerskim duchem, tego rodzaju obozowe życie wśród rówieśników a pod umiejętnem kierownictwem najzupełniej odpowiada, nie można jednak przeczyć, że ułatwia także zadanie przygotowania jej do przyszłej służby wojskowej, będącej dotąd obowiązkiem każdej jednostki.

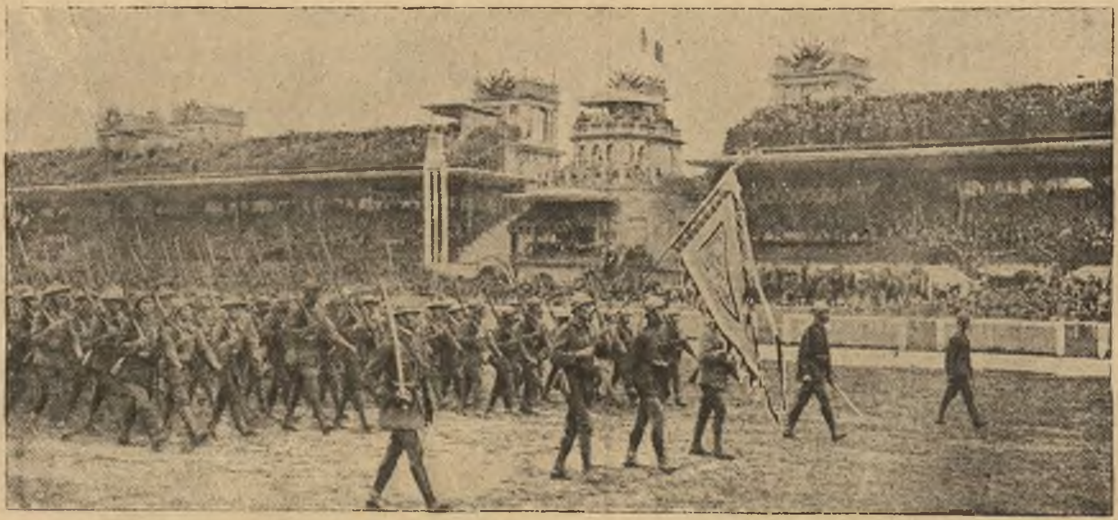
Tego rodzaju wakacyjnych obozów, zorganizowanych po wojskowemu, urządzono w roku bieżącym kilka, jeśli próba się powiedzie, przystąpi wojskowość do zakładania dalszych, aby dać sposobność jak największej liczbie młodzieży do korzystania z tego prawdziwego dla niej dobrodziejstwa, jakiem jest dwumiesięczny pobyt na łonie



Kursy uzupełniające dla nauczycielstwa szkół powszechnych: Kurs robót ręcznych w Rozdole.

przyrody, zdala od gwaru i kurzu wielkomiejskiego, gdzie, wyrabiając swe siły fizyczne, przysposabia się także, zbyt tego nie odczuwając do przyszłego życia obywatelskiego.

Ilustracye, zamieszczone w niniejszym numerze, przedstawiają sceny z życia takiego obozu wakacyjnego, urządzonego w uroczej dolinie Popradu,



Święto narodowe we Francyi: Oddział wojsk anamskich w dniu 14. lipca b. r. podczas wielkiej parady na polach Longchamps.

obok Rytra, na drodze ze Starego Sącza do Muszyny, a zostającego pod kierownictwem porucznika M. Wyroda.

Ujęcie morderców Rathenau'a, czy komedya?

Od dnia 11. lipca b. r. począwszy obiegają prasę najsprzeczniejsze wiadomości o mordercach ministra Rathenau'a, za których wykrycie wyznaczyła policya berlińska pokaźną nagrodę w kwocie miliona marek i rozpoczęła rzekomo bardzo energiczny pościg za nimi. Według tych doniesień obu morderców, inżyniera Fischera i porucznika marynarki Kerna miano wyśledzić w pewnej miejscowości saksońskiej, gdzie, osaczeni przez policyę w ruinach sąsiedniego zamczyska, mieli obaj popełnić samobójstwo, aby się nie dostać w ręce władz bezpieczeństwa.

Od pierwszej chwili, gdy udało się stwierdzić identyczność morderców, poszukiwania za nimi czynione były w różnych kierunkach, a każdy z nich okazał się fałszywy. Pisma niemieckie narzekały, że ludność przez swe zeznania rozmyślnie sprowadza policyę na mylne ślady by mordercom ułatwić ukrywanie się, tak jednak w tym wypadku, jak i przy okazji poprzednich zamachów, można było stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, iż władze śledcze postępują w ten sposób, jak gdyby im zależało na tem, aby sprawcy nie dostali się nigdy w ich ręce.

Rzekome ujęcie i samobójstwo morderców Rathenau'a miało być zwykłą komedyą, uplanowaną i zręcznie odegraną przez policyę niemiecką, by jej nikt nie mógł uczynić zarzutu bezczynności i świadomego popierania zbrodniarzy, o ile oni należą do grona monarchistycznie usposobionych niemieckich narodowców.

Według doniesień pism niemieckich policya wyśledziła nareszcie obu morderców Rathenau'a na zameczku Saaleck przy zakładzie kąpielowym Kösen w pow. Meiseburg w Saksonii. — Byli to istotni sprawcy mordu: Inżynier Herman Fischer i por. marynarki Erwin Kern. Spostrzeżono ich w zakładzie kąpielowym w Kösen i zawiadomiono o tem policyę w Halle. Policya rozpoczęła dochodzenia i stwierdziła, że poszukiwani mordercy ukrywają się na wsi w ruinach zameczku Saaleck. Oddział policyi otoczył nad ranem ruiny i stwierdził, że dwóch ludzi ukryło się w baszcie zamkowej. Koło południa dwóch urzędników usiłowało dostać się do piętrowej sali, przez zbrodniarzy zamieszkałej. Drzwi były zamknięte. Postanowiono je wyważyć i przemocą otworzyć. — Z wewnątrz słychać było głosy: „Niech żyje kapitan Ehrhardt!“ Wreszcie odezwały się głosy: „Umieramy za nasze ideały“. Padły dwa strzały. Gdy policya otworzyła drzwi, na podłodze znalazła skrwawione zwłoki obu morderców. Trzymali kurczowo rewolwery.

Ponieważ nieboszczyków nikt przesłuchiwać ani sądzić nie będzie, sprawę zamordowania Rathenau'a należałoby w myśl informacyi niemieckich uważać za ostatecznie załatwioną. Prasa francuska jest jednak innego zdania, twierdząc, że Niemcy starali się tylko o wyprowadzenie w pole opinii publicznej, mordercy bowiem Rathenau'a cieszą się najlepszem zdrowiem i zupełną swobodą, wiedząc dobrze o tem, iż policya szuka ich zawsze tam,

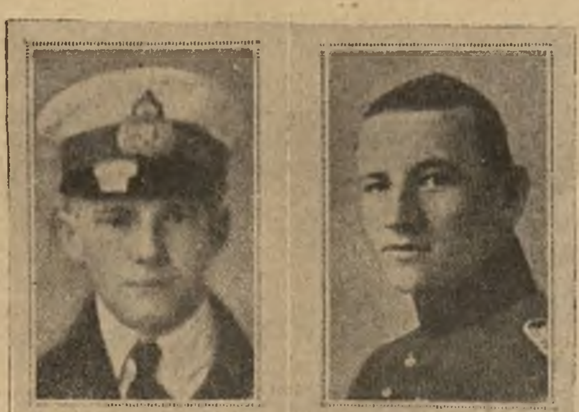


Święto narodowe we Francyi: Jenerał Mangin w rozmowie z naczelnikami plemion murzyńskich w Afryce podczas wielkiej rewii na polach Longchamps w dniu 14. lipca b. r.

gdzie ich nigdy nie znajdzie. Prasa paryska utrzymuje, że zwłoki, znalezione w ruinach zamku Salleck w Saksonii, należały do dwóch nieboszczyków, zmarłych w miejscowym szpitalu. Podejrzanym był pośpiech, z jakim obu rzekomych morderców pochowano, chociaż nie stwierdzono ich identyczności.



Ujęcie morderców Rathenau'a, czy komedya?: Policya niemiecka plakatuje ogłoszenia, podające podobizny morderców Rathenau'a i wyznaczające nagrodę w kwocie miliona marek za ich ujęcie.



Ujęcie morderców Rathenau'a, czy komedya?: Porucznik marynarki Erwin Kern i inżynier Herman Fischer, mordercy Rathenau'a.

Na zwłokach nie znaleziono żadnego śladu krwi. Policya niemiecka poprostu wywiozła nocną porą ze szpitala dwóch nieboszczyków, okłamała świat, że są to mordercy Rathenau'a, poczem ich szybko pochowała. Prasa paryska piętnuje ten bezczelny cynizm władz niemieckich.

RENE BURES.

Zil=X...

27) tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY

Pani Markas poczerwieniała silnie. Dalton zrozumiał, że podstęp udał mu się znakomicie. Stara wiedziała coś napewno! Ale jak ją zmusić do mówienia. Po zbadaniu terenu, Dalton uznał widocznie za stosowne, otwarcie przystąpić do rzeczy, bo zdecydował się nagle.

— Najlepiej będzie — oświadczył — jeżeli wprost zadam pani parę pytań. Może pani zapomniała o czemś, co byłoby bardzo wytłómaczalne w obecnem zdenerwowaniu pani.

— Niech pan pyta — odparła uległa pani Markas.

— Czy Markas nic nie wiedział o Jerzym Dambleuse?

— Nie więcej ponadto, co już powiedział.

— A o kapitanie de Limandoux?

— Także nic.

— Czy nie słyszał przypadkiem o zegarku zgubionym przez kapitana?

— Nie, proszę pana — odpowiedziała pani Markas, podnosząc głowę.

Była widocznie bardzo zdziwiona. Jasnem było, że Markas nic nie wiedział o odkryciu, uczynionem przez nas.

— Nie wiedział nic o aktorce, pannie Dubois, ani o tym mężczyźnie, skazanym na sześciomiesięczne więzienie?

— Ten człowiek został skazanym za oszustwa w grze, musi pan o tem wiedzieć.

— To jest niemożliwe — ciągnął dalej Dalton — aby mąż pani nie wiedział nic o tym człowieku, którego zwłoki znaleziono w gabinecie senatora Poivier, we willi „Bzów". Co on pani mówił o nim?

— Mówił, że nic z tego nie rozumie. Mówił nawet, że to brzydko ze strony policyi zagranicznej, iż nie chce mu dać w tym kierunku żadnych wyjaśnień.

— Tak — szepnął Dalton — więc Markas starał się pozyskać te wyjaśnienia. I nigdy więcej co do tej sprawy nie mówił?

— Nie, proszę pana.

— A o Gilu?

Pani Markas zaczerwieniła się po raz drugi.

— Niech pani mnie posłucha — rzekł Dalton, który zauważył zmięszanie kobiety. — Pani zapewnie nie wie, że obiecaliśmy tysiąc franków temu, który nas zaprowadzi na ślad tego tajemniczego Gila.

— A dałby je pan natychmiast? — pytała kobieta, spoglądając po nas badawczo.

— Jeżeli ta wiadomość będzie mieć dla nas jaką wartość. Niech pani mówi. Iggins płaci rzetelnie.

— I nigdy pan nie powie nikomu, że ta wiadomość pochodzi odemnie?

— Przysięgam na to.

— A więc — Gil nie umarł!

— I to wszystko? — wyrzekł z rozczarowaniem Dalton — Markas nic innego nie mówił pani? Skąd on wiedział o śmierci Gila?

— Nie wiem, proszę pana. Powiedział mi to przedwczoraj. Był bardzo zły, a ja starałam się go uspokoić i zaczęłam z nim rozmawiać. Powiedziałam mu, że przecież powinni tego szukać, bo może utopił się w Sekwanie i choć to tylko pomocnik kata, to przecież także człowiek. On na to krzyknął do mnie: „Cicho bądź, Gil żyje! Ja wiem o tem". A potem kląć zaczął, proszę pana i już nic nie chciał powiedzieć.

— Czy to wszystko? — zapytał zimno Dalton.

Pani Markas zawahała się. Uznała widocznie, że nie zarobiła obiecanych tysiąc franków, bo po chwili namysłu zdecydowała się mówić dalej.

— Ja jeszcze coś wiem, proszę pana — oznajmiła tryumfująco.

— Co takiego?

Kobieta wstała, podeszła do kalendarza, wiszącego na ścianie, przewróciła kilka kartek i wskazała Daltonowi ołówkiem zanotowany adres:

„215, ulica Roquette".

— Co to jest — zapytał Dalton.

— Adres dziewczynki, której zwłoki znaleziono w ogrodzie senatora.

— Dziewczynki, którą Markas przyniósł w worku?

— Tak, proszę pana.

Z ust Daltona wybiegł okrzyk tryumfu.

— Nareszcie!

— Nareszcie, trafiliśmy na ślad. na pierwszy ślad, który mógł nas doprowadzić do odkrycia tajemnicy tamtych zbrodni!

Ale czy rzeczywiście zbrodnia tu popełnioną została? I czy miała jaką łączność z zabójstwem senatora, pani de Beaumont i kapitana de Limandoux?

Tak, zapewne, można to było przypuszczać. Wzruszenie Jerzego Dambleuse na widok zwłok małej dziewczynki było dostatecznie wymowne. Od samego początku śledztwa po raz pierwszy mogliśmy się dowiedzieć coś o tem.

— 215, ulica Roquette — powtórzył Dalton. — Jakim sposobem mąż pani doszedł do tego adresu?

— Miał go dopiero od dni piętnastu.

— Ah! — zdziwił się Dalton.

— Ale szukał go dawno już. Sprawdzał skrupulatnie wszystkie miejscowości, skąd donoszono mu o zniknięciu jakiegoś dziecka. Ale zawsze napróżno. Nareszcie jednego wieczora otrzymał list.

— Pocztą?

— Nie wiem, proszę pana, to był list anonimowy. W liście tym donoszono mu, że na ulicy Roquette 215 zniknęła dziewczynka.

— Cóż wtedy uczynił Markas?

— Udał się tam natychmiast z fotografią małej, którą zdjęto z niej po śmierci. Pan zapewne widział tę fotografię?

— Tak.

— Otóż pod tym adresem, proszę pana, mieszkało od dwóch miesięcy małżeństwo. On był szewcem. Oni oczywiście nic wiedzieć nie mogli, bo mieszkali tam, jak mówię, od dwóch miesięcy zaledwie, a dziewczynka znikła przed trzema miesiącami. Ale wszyscy sąsiedzi poznali doskonale fotografię małej.

— A gdzież się wyprowadzili rodzice tej małej?

— Otóż to, proszę pana. Byta to para wstrętnych pijaków, kłócących się i bijących się ciągle ze sobą. Raz, wieczorem, tak się strasznie pobili, że stary dostał ataku. Umarł jeszcze tej samej nocy. Musiał on zanadto silnie przedtem zbić żonę, bo nazajutrz przewieziono ją do szpitala, gdzie także prędko umarła! Oh! proszę pana, to byli ohydni ludzie.

— Ale mała? Co się z nią stało? — zapytał Dalton, nie tając niecierpliwości.

— Oh, proszę pana, to było najgorsze!

— Co?

— Siostra ją gdzieś zabrała.

— Siostra?

— Tak, proszę pana. Ta siostra, to także było coś nic wartego. Już przedtem uciekła z domu, aby bawić się do woli na Montmartre. Miała ośmnaście lat, kiedy poszła z domu.

— Gdzie ona mieszka teraz?

— Nie wiem.

— Może sąsiedzi będą coś wiedzieli o tem?

— Może być, proszę pana. To straszne ladaco była ta dziewczyna. Ona była w stanie sprzedać tę małą za kilka franków.

— Tak? Więc to ona uprowadziła ją ze sobą?

— Tak, ona.

— Dziękuję pani, pani Markas — wyrzekł Dalton, powstając nagle.

— Ah! — jęknęła kobieta — wyciągnął pan chyba dosyć rzeczy odemnie!

— Daję też pani to, co obiecałem.

Mówiąc to Dalton, wyciągnął z portfelu banknot tysiącfrankowy i wręczył go kobiecie. Poczem nie wysłuchawszy nawet jej gorących podziękowań, skinął na mnie i za chwilę znaleźliśmy się już w automobilu.

— — — — — — — — — — — — — — —

Przeprowadziliśmy śledztwo bardzo szybko. Na ulicy Roquette, pod numerem 215, znaleźliśmy rzeczywiście szewca i żonę, ludzi spokojnych i zdaje się uczciwych, którzy nie wiedzieli o niczem.

Wskazali nam tylko sąsiadów pewnych, od których mogliśmy zasięgnąć jakichś informacyi. Musieliśmy stracić trochę czasu i dość słów napróżno, zanim wyciągnęliśmy z nich coś ważniejszego. Nie znali oni jednak żadnej z ofiar poprzednich zbrodni, ani też żadnych osób wmięszanych w te wszystkie dramaty. Dalton kolejno pokazywał im fotografię senatora, pani de Beaumont, kapitana de Limandoux, w końcu fotografię Elwiry Bourdon, starego Dambleuse, Markasa.

Poznali tylko Markasa, który przed kilkoma dniami był u nich, w celu tych samych, co i my poszukiwań.

Stara owocarka, wygadana nadzwyczajnie, która była przyjaciółką matki małej dziewczynki, podała nam adres tej siostry która według twierdzenia pani Markas zeszła na złą drogę i była „ladaco".

Potwierdziła nawet chętnie, że młoda dziewczyna uciekła z domu, mając lat ośmnaście, z jakimś robotnikiem i zapatrywała się na ten fakt z większą łagodnością, niż wdowa po ajencie. Dziewczyna zabrała ze sobą swoją małą siostrę i mieszkała, przynajmniej mieszkała tam jeszcze przed dwoma miesiącami, na ulicy Breda, numer 17.

Znano ją tam tylko pod imieniem Niny.

Byliśmy bardzo uszczęśliwieni z zebranych wiadomości, bo ułatwiały nam one dalsze poszukiwania, a przytem zyskiwaliśmy na czasie, co dla nas teraz było rzeczą dosyć ważną.

Antonina Laplanche.

Panna Nini była to młoda kobieta, dosyć przystojna, choć nie posiadała wybitnie regularnych rysów. Mieszkanie jej było ładne i z komfortem urządzone. Zawdzięczała to zapewne hojności licznych następców młodego robotnika, z którym uciekła z domu rodzicielskiego. W całej dzielnicy znaną była jako dziewczyna wesoła i sprytna, lecz pozbawiona wszelkich głębszych uczuć.

Przyjęła nas w pierwszej chwili dosyć zimno. Mężczyzna jakiś, wygodnie rozłożony w miękkim fotelu, barczysty, przystojny brunet, nie raczył nawet powstać na nasze powitanie i palił dalej swobodnie papierosa.

Ale Dalton przypatrzył mu się w taki sposób, że uznał za stosowne wstać po chwili i wyjść z mieszkania. Panna Nina zaś, sterroryzowana surową, poważną miną Daltona, zdecydowała się odpowiadać na pytania, zadawane jej przez mojego przyjaciela. Robiła to, co prawda, niechętnie, wzruszając co chwila ramionami, niezadowolona może z przerwania rozmowy z pięknym brunetem.

Pierwsze jej odpowiedzi potwierdziły zeznania, złożone przez panią Markas i owocarkę, która była przyjaciółką jej matki.

Powiedziała nam, że rodzice jej zmarli prawie równocześnie, pozostawiając ją samą z małą siostrzyczką Różą.

— Ja zaś nazywam się Antonina Laplanche, ale wszyscy nazywają mnie Niną — kończyła, uśmiechając się lekko, bo już jej wrodzony temperament brał górę nad niechęcią i niezadowoleniem chwilowem...

— Słyszałem już o tem — odpowiedział Dalton. — Ale kto pani doniósł o śmierci rodziców?

— Ta stara owocarka, sąsiadka. Musiałam tam iść. Wściekła byłam, bo nie wiedziałam, co mam robić z tą małą. Nikt się nie chciał nią zająć, a ona tylko ciągle płakała. Więc ją wziętam ze sobą, ale to mi się nie bardzo podobało. Wcale nie miałam ochoty trzymać tego dziecka w domu.

— A potem co było? — pytał Dalton.

— Potem... w parę dni przyszedł do mnie jakiś starszy pan...

— Nazwisko jego?

— Nie znam, mówił, że jest prezydentem, czy komendantem, nie pamiętam już. Przysłano go z jakiegoś towarzystwa dobroczynnego, czy coś podobnego i oświadczył mi, że chętnie zabierze małą ze sobą i zajmie się jej wychowaniem. Podobno miała być podobną do jego zmarłej córki. To przecież było całkiem prawdopodobne — nieprawdaż?

— Oczywiście — przytaknął żywo Dalton.

— Widziałam nawet coś podobnego na scenie w teatrze, proszę pana — rozgadała się panna Nina.

— Dobrze, dobrze, ale jakże się to skończyło? — niecierpliwił się Dalton.

— Stary zabrał ze sobą małą.

— Tak, od razu?

— Tak.

— Miał ze sobą dorożkę, automobil może?

— Automobil.

— I nie zawahała się pani ani na chwilę, nie namyślała?

— Po co. Cóż to? może miałam czekać dziesięć lat, albo więcej?

— I mała zgodziła się na to?

Nina wzruszyła ramionami.

— Płakała może?

— Pewnie.

— A ten pan nie zostawił adresu?

— Nie!

— Nie zostawił adresu?

— No, nie, nie pytałam się nawet o to! odpowiedziała z największym spokojem dziewczyna.

Prawdopodobnie nie sprzedała swojej siostry, jak to przypuszczała pani Markas, ale pozbyła się jej chętnie, przy pierwszej, nadażającej się sposobności.

— No i co? Co się tak patrzy na mnie?

— Tak sobie.

— Czego wy chcecie właściwie odemnie — żachnęła się gniewnie Ninna. — Tamten, także takie komedye ze mną wyprawiał!

— Kto?

— A ten z policyi. Był tu dwa tygodnie temu idyota chciał mnie nastraszyć, ale mu się nie udało.

— To był Markas — szepnął cicho do mnie Dalton. — Bez wiedzy nikogo z nas prowadził śledztwo i dotarł aż tutaj.

— Czy to już koniec nareszcie? — rzuciła w tej chwili wyzywająco dziewczyna.

— Jeszcze słówko — odparł zimno Dalton. Jak wyglądał ten człowiek, który zabrał małą.

— Oh! stary był i brzydki!

— Poznałaby go pani?

— Pewnie!

Dalton podsunął jej przed oczy fotografie, które ciekawie przerzucać zaczęła.

Nagle wydała okrzyk.

— Oh! jest!

— Ten? — wskazał Dalton.

— Tak, to ten stary.

— Napewno?

— Nie jestem przecież ślepa.

Dalton podał mi fotografię i uśmiechnął się znacząco.

Była to fotografia Gila, znaleziona u pomocnika Sangé, po jego otruciu.

— Czy to był blondyn czy brunet? zapytał jeszcze Dalton chowając fotografię.

— Był rudy jak małpa! rzuciła ordynarnie dziewczyna, którą przedłużające się przesłuchanie znowu denerwować zaczęło.

W ten sposób zakończyło się tego dnia śledztwo. Uspokoiło ono trochę naszą ciekawość, ale nie przyniosło nam nic nadzwyczajnego.

Wiedzieliśmy już teraz co prawda, jak nazywała się mała dziewczynka znaleziona w ogrodzie willi „Bzów". Wiedzieliśmy gdzie mieszkała. Wiedzieliśmy w końcu, kto ją zabrał od Niny. I jeszcze jedno: że śmierć jej miała związek jakiś z dramatem „trzech zbrodni".

Ale nie wiedzieliśmy, czy naprawdę była zamordowaną, w jakim celu i dlaczego po zamordowaniu jej związano jej zwłoki we worek i wrzucono do ogrodu senatora Poivrier.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TEKLA SUENSSON.

Wakacyjna podróż mojej cioci.

3)

— Jakże dziś czas spędzimy? — spytał radca, miałbym ochotę zaproponować pani małą wycieczkę w okolicę?

— Doskonale! — zawołała ciotka, zapominając o swej krytycznej sytuacyi. — Gdzież pojedziemy?

— Gdzie? Hm — hm — patrzał z uśmiechem na talerz.

— Sądzę, że przyjacielowi memu będzie przyjemnie, gdy zapoznam panią z jego najbliższą rodziną. Możemy zacząć naprzykład od brata jego żony, Michelsena. Musiałaś pani o nim słyszeć. Rzadki człowiek, przynoszący zaszczyt całej rodzinie.

— O! tak! znam go dobrze — rzekła ciotka, drżąc od strachu (spojrzałem na nią, czerwieniła się i bladła) ale zapewniam pana — ciągnęła dalej, nie myśl, że jestem kapryśną... wszelako tak dalece zależę od mego zdrowia... moich nerwów... że nie mogę nigdy powiedzieć pojadę-li za godzinę lub nie... Do tego nie mogę tu dłużej nad cztery dni pozostać — nieprawdaż Piotrusiu?

Ciotka zupełnie zbiła się z toru; bowiem usłyszała właśnie z przerażającą dokładnością turkot powozu przed domem.

— Nieprawdaż Piotrusiu? — powtórzyła, otworzywszy szeroko oczy w kierunku podejrzanego hałasu.

— Wiesz o tem najlepiej — burknąłem otrzeźwiały z przestrachu, gdyż o nieba! elegancki powóz ukazał się przez okno.

— Nie lękaj się pani — zauważył radca, biorąc duży kawał placka, to Tidsela ekwipaż.

— Tidsela! Ciotka podskoczyła na krześle.

— Ale — radca otarł sobie usta serwetą — próżny.

Ciotka wycieńczona, sparła się o poręcze.

— Kazałem zaprządz, żebyśmy zaraz po śniadaniu jechać mogli. Jednak gdybyś pani wolała w domu pozostać, zastosuję się do tego. Goście powinni mieć wolność zupełną — mówi nasz kuzyn, sędzia Tidsel, z czem i ja się zgadzam. Ależ kuzynko kochana, pani wcale nic nie jadłaś!

Spojrzał na mnie, który o! wstydzie! prawie pół placka spożyłem, wszelako na usprawiedliwienie swoje dodać muszę, że jadłem go tylko z przestrachu.

— Mówiłaś pani coś o odjeździe swoim — ciągnął, biorąc znów placka kawałek, — lecz na to nie pozwolę, nie, droga kuzynko, daruj tę poufałość, przed powrotem rodziny nie możesz nas opuścić.

— Niestety! jest niemożebnem dla mnie czekać tak długo; nieprawdaż Piotrusiu? Ty wiesz to najlepiej!

— O! tak! — odparłem, omal się nie udławiwszy, (gdyż z przestrachu znowu dobrałem się do placka) to niemożebne, ponieważ jeszcze innego kuzyna musimy odwiedzić.

— Innego? Hm! Musisz pani dużo krewnych mieć w tej okolicy!

Podkręcił wąsa, a ciotka zmieszana moją śmiałością, odpowiedziała:

— O! tak! tak!

— Mogęż spytać o nazwisko kuzyna?

— Piotrusiu! — szepnęła ciotka.

— Klausen! — odparłem żywo.

— Klausen? Ej! Ej! czy to nie radca sądowy!

— Tak — tak — potwierdziła przerażona ciotka.

Jednakże tego nie przewidziałem i: „nie" wymknęło mi się z ust mimowoli.

— Tak i nie? Hm — Więc jest radcą i nie jest? Jak to pogodzić? ale na świecie niema nic niepodobnego! Lecz cóż to widzę! ho! ho! ho! Czyż to nie Tidselowie przyjechali? Rzeczywiście to oni!

Druzgocące spojrzenie rzucił mnie i ciotce, ale pocóż wysilał się? My bez tego byliśmy zdruzgotani.

Ciotka opadła z sił, ja zaś przeciwnie z taką mocą postawiłem dzbanuszek od śmietanki na stole, że z trzech nóżek dwie prysło odrazu.

— Ale nie! Jakto można się pomylić! — zawołał wreszcie radca, — powóz przejechał tylko. Możebyśmy kochana kuzynko trochę wyszli na słońce? Świeże powietrze orzeźwi panią, trzeba korzystać z pogody. Lecz lepiej weźmy powóz, w przejeździe możemy wstąpić do Michelsena; jeżeli sobie pani życzysz.

Chrząknął i wyszedł jakby miał kazać zaprzęgać.

— Piotrusiu! — ciotka wzniosła ręce do nieba — Piotrusiu! — opuściła je napowrót.

— Sądzę — rzekłem, że najlepiej zrobimy, uchodząc ziąd w tej chwili.

— Niech cię Bóg błogosławi Piotrusiu! Tego żądam tylko; tego pragnę. Chodź! chodź!

Wejście zaimprowizowanego kuzyna przerwało entuzyazm ciotki.

— Zdarza się wyśmienicie! — wołał z daleka. Wczoraj byłem zwiastunem hiobowej wieści; dziś neutralizuję ją, zawiadamiając panią o przybyciu konnego posłańca z doniesieniem, że najdalej za godzinę Tidselowie tu będą. Cóż pani na to? Nie jestże to uśmiech szczodrobliwego losu? Można by sądzić, że Tidsel przeczuwał szczęście jakie go czeka. Ale z naszej przejażdżki już nic nie będzie, raczysz wybaczyć kuzynko nieprawdaż? Muszę udać się naprzeciw przyjaciela.

— Bogu dzięki! — wyszeptała ciotka.

— Co? Czy pani życzysz sobie mnie towarzyszyć?

— Nie — nie. Jedź pan w imię Boże.!

Wkrótce ku wielkiej naszej radości radca wyjechał z podwórza. Ciotka dziękczynnie wzniosiła ręce do nieba z wejrzeniem, którego opisać niepodobna, poczem, wstydzę się powiedzieć, wysunęliśmy się cichutko do gościnnych pokoi. Tu przywdzialiśmy suknie podróżne, spakowali dwa małe tłumoczki z najlepszemi rzeczami i tęsknem wzrokiem obrzucili nasze kufry i pudełka. Ciotka nawet otarła kilka łez w skrytości, bowiem nie łatwo rozłączyć się z tem, co nam do serca przylgnęło. Bez szmeru jak przybyliśmy, zeszliśmy na dół każde z tłumoczkiem w ręku; ostrożnie, oglądając się w około pożegnaliśmy zielone drzwi z mosiężną rączką od dzwonka, podwórze w całej długości i dzięki Bogu stanęliśmy na gościncu. Przed nami bieliła się droga do „Lwicy", której zaparliśmy się w karygodnej swawoli. „Lwica" obok której z głęboką tęsknotą i łzami w oczach przekradaliśmy się jak zbrodniarze. Jakże chętnie byłbym wszedł w jej wrota szerokie, z jakąż roskoszą poznał babunię Elzę i rzucił się w jej objęcia! Ale nie, musimy iść naprzód! ciągle naprzód! niema dla nas spoczynku na zielonem wybrzeżu Jutlandyi!

Uszliśmy dobrą milę i „Lwica" daleko już pozostała za nami, gdy ciotka wyczerpana poruszeniem i podróżą chciała odpocząć przy rowie. Usiedliśmy więc, złożywszy nasze węzełki i rozpoczęli gawędę ze starym wieśniakiem.

— Znacie sędziego Tidsel? — spytałem.

— Jużci — znam dobrze.

— A jego żonę?

— Żonę? on niema żony.

— Niema?

— Nie, bo nie żonaty.

— Nie żonaty? słyszysz ciociu!

— Nie — to wesoły kawaler! ha! ha! ha! ale otóż jedzie.

W istocie! O! nieba! W tej chwili radca Willing przemknął koło nas. Nieznacznie wysunął się z polnej drożyny i przejechał jakby nas nie uważał, choć poszedłbym o zakład, iż jedynie po to przybył, żeby nas jeszcze raz zobaczyć. Gdy już był niedaleko, spiął konia ostrogą i poleciał galopem, by strzała.

Chwała Bogu! Widzieliśmy go wtedy po raz ostatni lecz ciotce zrobiło się przy tej okazyi niedobrze. Mój flakon! — zawołała, a ja musiałem natrzeć jej skronie zawartością jego.

— Tam do licha! Jużeś tu znowu? wykrzyknął doktór Hansen, patrząc jak na upiora, gdy w drzwiach swoich mnie spotkał. — Cóż u dyabła ma to oznaczać?

— Ciocia chora! — odpowiedziałem bez tchu, gdyż biegłem całą drogę. — Musisz pan zaraz pójść zemną!

Biedna ciotka, była istotnie chorą! Z natężenia i strachu dostała gwałtownej gorączki, kuzynostwo z Tidselem drogo musiała opłacić.

Pimpernille pielęgnowała ją starannie. Doktór Hansen, oddajmy sprawiedliwość komu należy, jak mógł najlepiej robił swoje, a ja jeżeli mówić mi wypada, byłem dobrym chłopcem.

Powoli ciotka przychodziła do siebie; wszelako podróży do Jutlandyi nigdy przeboleć nie mogła. Doktor Hansen dziwił się niemało, że powietrze morskie tak niekorzystny wpływ wywarło na jej zdrowie; żałował formalnie swej poprzedniej ordynacyi, dlatego był niezwykle cierpliwy i pobłażliwy dla ciotki.

— Piotrusiu! — rzekła ciotka, gdy raz wieczorem byliśmy sami, — nigdy już nie chcę podróżować.

— Nie — przyznałem znaczącą, — to najroztropniej.

W miesiąc po powrocie z pamiętnej wycieczki do Jutlandyi, spotkała nas radość pomięszana ze smutkiem, oto: dostaliśmy kartę pocztową na kufer i inne pudełka.

Byli to nasi starzy przyjaciele, których w domu Tidsela porzuciliśmy heroicznie.

— Bogu dzięki! — zawołała ciotka ze łzami w oczach. — Ale Piotrusiu, — zamyśliła się głęboko — teraz on wie gdzie mieszkamy.

Wszelako i ta wsławiona wycieczka do Jutlandyi nie była bez korzyści; mianowicie: ciotka nie czuła więcej potrzeby chorować, nigdy nie mówiła o znakomitych krewnych i ich posiadłościach; rzadko używała flakonu z solami i nic a nic nie wierzyła w proroctwa Pimpernille.

KONIEC.

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

17)

Dziś ten człowiek stał się przypadkiem stróżem nietylko owych rzeczy, tam w podziemiach ukrytych, ale jeszcze i naszego w szopie mieszkania... Gdyby nie jego pomoc, nie byłoby nam tak łatwo szło.

Kiedy Alferow wyznał tej nocy całe dzieje grzechu młodości, Iza i Marya prawie jednocześnie jęły sobie przypominać, że widywały parokrotnie owego Jana, gdy się na chwilę zjawiał w mieszkaniu Grzegorza.

Podobieństwa do Alferowa nie zauważyła z nich żadna, ale spostrzegły obie, że to młodzieniec wyjątkowej inteligencyi... i sprawiający wrażenie człowieka o duszy prawej, szlachetnej...

— Otóż on miałby mnie... miałby nas... ocalić...

Milczenie zapadło po tych słowach Juliana. Rozmyślano wśród ciszy nocnej, gdy naraz Piotr, zrywając się z kąta, zagadnął ponuro:

— A jej nic nie może ocalić?

— Nie wiem — odpowiedziała Iza, a po chwili ogólnego milczenia, spuściła głowę i dodała szeptem:

— Spróbuję...

Ręce Piotra wyciągnęły się błagalnie w stronę Izy.

— Pomóż — szepnęła ku niemu ledwie dosłyszalnie.

— Czem? — zapytał.

— Miłością — odparła. — Wszakżeś ty ojciec — dodała po chwili.

I dusze ich obojga zwarły się w tej chwili z sobą... i poniosły się kędyś w dal... i kędyś tam na głodnym stepie walczyły o duszę dziewczyny, przymierającej w mękach z głodu.

Do jej męki przyłączyły się ich męczarnie... Godzina mijała... Zmagały się ze śmiercią... Aż wreszcie doznały ulgi...

Ranek już był i jasno w szopie, gdy Piotr wpatrzył się w twarz Izy z niemem pytaniem. Zielone oczy objęły go spojrzeniem łagodnem, a usta jej zaszeptały:

— Żyje.

Piotr padł twarzą na swoje posłanie, a łzy zaczęły dużemi kroplami padać na nie bezwiednie.

Takie łzy — pamiętał — padały z oczu owej cichej kobiety, którą uwiódł... Piotr widzi jej poduszkę, rzewnemi łzami oblewaną po tem, gdy to nieszczęście się stało...

Ani on jej nie kochał, ani ona jego... U przyjaciela po kolacyi, pijany artysta zaszedł do jej izby... i wyszedł z niej rano...

A potem... po latach... dziewczynkę niosąc na rękach, zaczepiła go ona — i powiedziała, że to po nim pamiątka.

Nie przyjęła od niego nic, gdy zapytał, czy ma do niego jakie pretensye... I nigdy więcej o to swoje dziecko nie pytał. Nigdy go nie widział, ani o niem nie słyszał.

Kobieta samotna szła dalej przez życie, pracując ciężko na siebie — i na córkę. Ojciec dziecka nie przyszedł jej z pomocą nigdy.

Aż naraz dziewczyna ginie z głodu... Umierać ma... Czuje tę mękę głodowej śmierci... I niespodziewanie doznaje jakiejś ulgi w boleściach...

Doczekała do rana. A rano... ktoś, kto mimo jej chaty przechodził, zlitował się nad ofiarą głodu... poratował ją czemś, co ją ocali... co jej da przeżyć do chwili, w której los jej odmieni się szczęśliwie...

Edward szepnął Izie tych kilka słów pociechy, jakich trzeba było dla Piotra.

I już Nelin czuje się szczęśliwym... Podobnie jak Alferow, doznaje zadowolenia, że się z resztą bractwa podzieli tajemnicą swego grzechu... I żaden cień nie stawa już między nimi... i nie będzie przeszkody do dalszego życia w Prawdzie.

— O tak — powtarza sobie Marya raz za razem — w tem naszem dziwnem bractwie kłamać nie wolno... wszyscy żyją w prawdzie...

— Albowiem tylko prawdą żyjąc, może się duch doskonalić — mawia nieraz Iza.

— W Prawdzie... Oni wszyscy mogą żyć w prawdzie... Ja jedna nieszczęśliwa kłamać im muszę...

...O, gdybyś miał litość nademną, Pawle, to byś mi się zjawił na jedno oka mgnienie!

...Gdybyś mnie kochać nie przestał, to byś się odezwał choćby jednem słowem!

Wpatrzyła się w Piotra Nelina i skamieniała w swym bólu. Mówiono wkoło niej: nie słyszała nic.

Paweł przestał ją kochać!...

— A Piotr?...

Piotr jej nie widzi. Piotr widzi tylko Izę.

— Jednak to długo trwać nie może! Ja nie wytrzymam...

...Nie mam tej mocy, jaką ma Iza, by taką mękę przetrwać... i o sobie zapomniawszy... chcieć żyć dla drugich.

...Chciałabym — ale nie umiem!

XV.

Automobil mknął z zawrotną chyżością. Zostawiano za sobą pustki nieprzejrzane. Czasami mijano osady ludzkie — i pędzono dalej i dalej...

— Dokąd?

— Przed siebie.

— Wszak tam kędyś musi się natrafić na białych.

— Wprawdzie ci biali może czasami tyle warci, co tamci czerwoni... a jednak jeszcze się wśród nich zapewne odetchnie po tamtem piekle, jakie się zostawi za sobą.

— Tyle mówiono, że tak niedaleko do obozu białych...

A tymczasem... wszędzie, dokąd przybywali, powiewała chorągiew czerwona...

Ale wtedy i na ich maszynie furkotała w pędzie flaga czerwona.

— Co będzie, jeśli wyjdzie na jaw, kto pod tą flagą podróżuje — nad tem myśleli często wędrowcy.

W głębi siedziały Iza z Maryą; przed nimi Piotr z Julianem; a siedzenie szofera zajmował Janek.

— Jak on to wszystko urządził — mruczał nieraz Alferow podczas jazdy, przyglądając się przystojnemu młodzieńcowi, z bajeczną zręcznością wymijającemu wszelkie przeszkody w oszałamiającym pędzie.

Syn Grzegorza został zmilitaryzowany z chwilą wejścia do miasta czerwonych i pracował w kacelaryi sztabowej, gdzie miał do dyspozycyi papiery, pieczęcie, podpisy; w kancelaryi, która wydawała pozwolenia, jakich nikt zdobyć nie mógł poza garstką dygnitarzy rządów terrorystycznych.

Młodzieniec był z przekonania białym i w służbie u czerwonych poglądów swoich w niczem nie odmienił. To też pozostał całą duszą oddanym ojcu, a wraz z Grzegorzem i Alferowi.

Na co byłby się zdobył zaufany sługa w razie potrzeby dla umiłowanego pana — do tego samego zdolny był w każdej chwili i Janek.

On sobie dobrze zdawał sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża, ale się przed niem nie zawahał.

Papiery były w porządku... papiery tak nadzwyczajne, że w razie rewizyi mogły tylko imponować...

Zresztą tym, którzy by śmieli zatrzymać maszynę, musiałaby zaimponować ona predewszystkiem!... Któż taką dziś jeździł? Kto w całem państwie miał drugą podobną... jeszcze w takim świetnym stanie!

Ba, ależ to auto nie nadarmo przesiedziało w ukryciu w podziemnych sklepieniach pod szopą za cmentarzem, w której jego właściciel dzielił do dziś dnia mieszkanie z trojgiem towarzyszy.

Nikt o tem nie wiedział, że je tam ukryto, prócz Janka i Grzegorza — i oni też obaj wśród nocy pomogli je wydobyć Alferowi.

Cała rzecz w tem, by się szczęśliwie wśród mroków nocnych wydostać z obrębu miasta, to bowiem jeszcze papiery mogły wzbudzić wątpliwość... a w razie wątpliwości była jeszcze możność upewnienia się na miejscu co do ich wiarygodności...

Ale potem... w stepie... szukaj wiatru w polu!

— Mając taką maszynę do dyspozycyi, nie boję się niczego — zapewniał Janek.

Całe więc szczęście, że zabrawszy wielkie zapasy ze swych piwnic zdążyli wwjechać z miasta przez nikogo nie zatrzymani.

Janek znał tajemnice urzędowe i nie omieszkał użyć ich w tym celu... A raz znalazłszy się w polu, zmykał z taką szybkością, na jaką jeno pozwalała znakomitej marki wyścigowa maszyna, jeszcze nie zużyta, a jednak dobrze już wypróbowana przez Janka w czasach, gdy Alferow marzył o ucieczce... jeszcze przed przyjściem czerwonych...

— Lecimy, nie jedziemy — mruczał Julian zadowolony.

— Benzyny nam nie powinno braknąć.

— Więc jeśli tylko nie będzie jakiego w drodze wypadku, to nie mamy potrzeby nigdzie się zatrzymywać w pobliżu ludzkich siedzib i stolic niebezpiecznej władzy.

Tak też było. Na chwilę wypoczynku przystawali w drodze wśród największego pustkowia. Posilali się, studyowali mapę — i ruszali dalej z miejsca.

A tam, gdzie trzeba było mijać ludzi, gdzie można było natknąć się na spojrzenie szpiegowskie, tam przelatywali z furyą, w jakiej nicby ich nie zatrzymało; albo nie jechali tamtędy wcale, zdaleka omijając miasto i kołowaniem nakładając drogi.

Dotychczas wszystko udawało się świetnie. Nikt ich nie zaczepiał.

Aż wreszcie z różnych objawów wyobrazili sobie, że muszą być blisko frontu wojsk białych. Chorągiewkę więc schowali i zaczęli jechać uważniej.

Natrafili na strzały. Pociski przelatywały im ponad głowami. Wyciągnęli tedy przygotowaną chorągiewkę białą i zatknąwszy ją, popędzili przed siebie.

A wtem maszyna stanęła.

Wypadek okazał się drobnym — i taki mechanik, jak Janek, mógł się śmiać z niego. Ale, niestety, zdarzenie wypadło w jak najgorszem miejscu.

Właśnie nadjeżdżał jakiś patrol, gdy szofer majstrował przy maszynie.

Julian jeszcze w porę zoryentował się, że wpadli na czerwonych — i szybko zerwał białą flagę. Nadjeżdżający jednak zauważyli to odrazu i z tem większem podejrzeniem gromadka konnych obskoczyła znieruchomiały pojazd, a lufy rewolwerów i karabinów skierowały się w stronę automobilu.

Janek zerwał się z miejsca i kilka słów rzuciwszy znienacka ku starszemu, wywołał niemi odrazu takie wrażenie, że dowódca skinął ręką i wszystkie lufy, do strzału gotowe na wszelki wypadek, opadły, jak gdyby z uszanowaniem.

Młodzieniec wydobył z zanadrza papiery i gestem pewnym siebie podsunął pod oczy starszemu. Ten, ledwie jął czytać, zwrócił je pomieszany i przeprosił, poczem z miejsca zawrócił, uprowadzając wraz z sobą w galopie całą sforę zbirów.

Zdumienie ogarnęło Juliana, Piotra i kobiety, a mechanik z głośnym śmiechem powrócił do swej roboty.

— Jak on to wszystko urządził! — wołał Alferow i niejako z dumą spoglądał na Janka.

Brano ich tedy za wysokich komisarzy, jadących w ważnej misyi.

A wyglądali na nich wszyscy zdaleka w pięciu wspaniałych futrach automobilowych, w maskach sportowych na głowach, z pod których nikt by nie odróżnił kobiet od mężczyzn.

— Udało się — rzekł Piotr. — Ale ta próba z białą flagą może być na przyszłość niebezpieczną.

Gdzieś tam w istocie był jakiś obóz białych... kędyś front się ciągnął wieczystej partyzantki... tu i ówdzie kule świstały... czasem zagruchotał karabin maszynowy...

Ale to wszystko wcale nie mogło robić nadziei, że się dostaną na stronę białych. Jechali więc dalej bez planu.

Pędzili — dokąd im się uda — wierząc, że musi być jakiś cel tej podróży. Wprawdzie żaden głos zaświatowy nie doradził im tego wyraźnie, a jednak wszakże to za podszeptem Różyczki zwrócono się do Janka, by on ich swoimi sposobami ocalił. Czyż mogą tedy jechać na zagładę?

Oddalili się od swego miasta tak znacznie, że wjechali w kraj zgoła inny, mimo, że znajdowali się ciągle pod władzą czerwonych.

Ale ten, co tu panował, na imię miał Głód.

Wprawdzie już tam, skąd wyjechali, brak dawał się odczuwać dotkliwie, jak wszędzie, gdzie miastem zawładnął ich terror... Teraz jednak dopiero spostrzegli, ile prawdy było w głuchych wieściach o strasznej katastrofie głodowej w innych okolicach państwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Pierwszy miesiąc wakacyi skończył się szczęśliwie, szczególnie dla tych, którzy nigdzie nie wyjechali, nie mieli też sposobności, do nadzwyczajnych wydatków i nadzwyczajnych irytacyi. Takich zaś, jak się obecnie okazuje, było stosunkowo dużo. Sprawozdania z miejsc kąpielowych i uzdrowisk brzmią dosyć smętnie oświadczając na ogół, że pierwszy sezon nie dopisał, drugi choć dobiega połowy, pozostawia wiele do życzenia, trzeci także nie rokuje zbyt różowych nadziei, zwłaszcza po przeczytaniu wiadomości, podanej przez *Kuryerka*, iż w przeciągu miesiąca ma w okolicy Budapesztu wybuchnąć nie mniej nie więcej, tylko siedmdziesiąt wulkanów, co będzie połączone z trzęsieniem ziemi i innemi awantura mi, nie trzeba zaś zapominać, że wszystkie nasze miejsca klimatyczne i kąpielowe leżą przeważnie na dawnem pograniczu węgierskiem, mogą zatem łatwo odczuć następstwa tych kataklizmów. Czytamy, że skutkiem słabej frekwencyi ceny mieszkań tu i ówdzie spadły, jest to jednak tylko zwykła pułapka na łatwowiernych, którzy dopiero po przybyciu na miejsce przekonują się ku swemu wielkiemu zmartwieniu, iż była to tylko najzwyklejsza omyłka druku, a właściciele pensyonatów, restauracyi i podobnych przedsiębiorstw starają się odbić sobie niepowodzenie pierwszego i drugiego sezonu.

Bez względu zatem na owe budapeszteńskie wulkany siedźmy raczej w domu, bo wszędzie dobrze, a w domu przecież najlepiej, chociażby nawet lało się przez dziury w dachu, a gospodarz dokuczał dodatkowemi świadczeniami. Nie wypada zresztą wyjeżdżać na świeże powietrze nieogolonym i nieostrzyżonym a tu właśnie pracownicy nożyc i brzytwy rozpoczęli strajk, rzekomo przeciwko swym prawodawcom, adresowany przecież wprost do kieszeni klienteli. Obie strony walczące, t.j. tak pryncypałowie, jak pracownicy podnoszą swą lojalność wobec drugiej strony, wytykając natomiast jej nieustępliwość, do porozumienia jednak jakoś dojść nie może. Z notatek i komunikatów podawanych przez nasze pisma codzienne, wywnioskowaliśmy tyle, że pryncypałom jest solą w oku organizacya ich pracowników i biuro pośrednictwa pracy, które wedle swojego własnego uznania, niejako z urzędu, wyznaczałoby im siły pomocnicze, pozbawiając ich w ten sposób możności wyboru i zdając na łaskę i niełaskę podwładnych. Natomiast pracownicy wystąpili z zarzutem, że pryncypałowie chcieliby mieć wolną rękę w przyjmowaniu i odalaniu pomocników, którzy w danem przedsiębiorstwie zajęci są dłużej, niż rok. Co do tych dwóch punktów trzeba obu stronom przyznać słuszność, co do pierwszego pryncypałom, co do drugiego pracownikom, którzy w tych warunkach musieliby być przygotowani, że na jednem miejscu dłużej niż rok nie usiedzą. Najbardziej jednak uderzył nas ostatni postulat pomocników fryzyerskich, iż nie godzą się na żadne procenty, lecz żądają stałej płacy, mającej się rozpoczynać od stu czterdziestu tysięcy i oczywiście automatycznie zwiększać. Co się tego tyczy, pryncypałowie zapewne nie będą robić obstukcyi, wiedząc o tem, że zapłaci to klientela, gdyż oni odpowiednio ceny popodnoszą, a władza je zatwierdzi.

Zwykły jednak śmiertelnik, który nie urodził się pod tak szczęśliwą gwazdą, by mógł zostać golibrodą, oczywiście artystą golibrodą, pociągającym pędzlem z giestem Matejki lub Siemiradzkiego i bawiącym gościa polityczną rozmową, zapytuje się sam siebie, czy opłaciło się cztery lata strawić w normalkach, ośm w gimnazyum, a potem cztery lub pięć na uniwersytecie, aby dziś, po kilkunastu latach nienagannej służby dochrapać się zaledwo połowy tego wynagrodzenia, jakiego żąda dla siebie świeżo wyzwolony pomocnik fryzyerski. Nie przeczymy bynajmniej, iż zawód ten wymaga pewnego artystycznego uzdolnienia, nie możemy jednak pominąć milczeniem, że przygotowanie do niego nie jest bynajmniej tak żmudnem, jak dajmy na to osiągnięcie stopnia dr. nauk lekarskich, zatem fachu który fryzyerzy uważają stale za pokrewny. A tu, jak na złość, czytaliśmy niedawno, że Ministerstwo zdrowia opracowało projekt wydatnego polepszenia egzystencyi lekarzy okręgowych, wobec czego otrzymywać będą odtąd pobory trzech najniższych klas urzędniczych, w najlepszym wypadku mogą się zatem dochrapać jakich sześćdziesięciu do siedmdziesięciu tysięcy miesięcznie i coś tam jeszcze na rozjazdy, do czego niechcąc chodzić piechotą trzeba z kieszeni dopłacić. Ale u nas nie tylko w tym jednym wypadku spotyka się z niedorzecznościami, ma się z niemi do czynienia w którąkolwiek stronę zwróci się oczy. Nie tak dawno czytaliśmy, że primadonna operetki Warszawskiej p. Messalówna żąda tylko pięć milionów marek miesięcznej gaży, co ostatecznie tłómaczy sobie każdy ten, iż młodą całe życie nie będzie, a jeśli wcześnie nie porobi oszczędności, trzeba będzie na starość przymierać głodem, lub rozpocząć gościnne występy przed bramą któregoś z kościołów.

W jakimż jednak stosunku stoi do tego wynagrodzenia miesięczna gaża uczestników powstania narodowego w r. 1863/4, wobec których spłaciło społeczeństwo polskie w ten sposób swój dług, iż przyznało im rangi oficerskie, wynagrodzenie miesięczne tysiąc siedmset pięćdziesiąt marek i możność nabywania po zniżonej cenie produktów spożywczych w konsumach oficerskich. Trzeba jednak zważyć ile przy dzisiejszych cenach nawet wobec tego ułatwienia można nabyć najniezbędniejszych artykułów, a dojdzie się do przekonania, że weteran przy najdalej posuniętej oszczędności ma zapewnionych w miesiącu trzy do pięciu dni, wdowy zaś, jako pobierające połowę tego wynagrodzenia, o tyle mniej.

Obecnie przyznano wprawdzie weteranom znaczną podwyżkę, obowiązującą od kilku miesięcy wstecz, a dochodzącą miesięcznie coś do dwudziestu tysięcy, pozbawiono ich jednak prawa zakupywania po tańszej cenie najważniejszych artykułów, ponieważ zaś nasz administracyjny porządek jest wzorowy, muszą biedacy czekać, aż się obietnica w czyn zmieni, na razie zaś kontentować się dawną gażą, ale już bez prawa czynienia tańszych zakupów. Los weterana zatem, który nie miałby innego oparcia materyalnego, byłby wprost fatalny, gdyż groziłby albo śmiercią głodową, lub zmusiłby do wyciągnięcia ręki, czyli kija żebraczego.

Nauczyliśmy się wprawdzie szastać tysiącami i milionami i na oko zdaje się, że to bardzo dużo, w gruncie rzeczy trzeba jednak przyznać, że wojna w świecie ekonomicznym i finansowym pozostawiła tak fatalne następstwa, iż niczem są w porównaniu z niemi te jakie były wynikiem wojny francuzko-niemieckiej, a następnie austryacko-włoskiej, a także austryacko-pruskiej. A jednak nie jesteśmy jeszcze najgorszem pod tym względem państwem, mając za sobą byłą Austryę, Rosyę sowiecką, gdzie jużnie na tysiące jak u nas, lecz wszysko liczy się na miliony. Nie traćmy jednak nadziei, przy naszej racyonalnej gospodarce znajdziemy się wnet w jednym z niemi rzędzie.

Tymczasem u nas, jak gdyby na urągowisko zdrowemu rozsądkowi, stosunki, w szczególności obecnie wewnętrzne z dnia na dzień zabagniają się coraz bardziej, a owo nieszczęsne przesilenie pod którego znak wpakowały nas walki partyjne, przeciąga się miesiącami. Gdy się słyszy i czyta, jak postępują sobie w Sejmie warszawskim nasi suwereni, mimo woli przychodzi na myśl pytanie, czy to ludzie zaślepieni czy też źli. Zaciekłość partyjna i nieustępliwość przeszły już wszelkie granice, na postępowanie poszczególnych grup poselskich oburzają się nawet ci, którzy dotąd trzymali ich stronę. Szarpią to biedną Polskę jedni w prawo drudzy w lewo, z zamętu zaś wywołanego tego rodzaju polityką wewnętrzną korzystają żywioły niejasne i działalnością swą przyczyniają się do stworzenia coraz większego chaosu. Nie można się też dziwić, że w takich warunkach wartość marki polskiej musi się stale obniżać, a za granicą zaczynają wierzyć w to, o czem głosili nasi otwarci nieprzyjaciele, że Polska jest państwem sezonowem, które bardzo prędko zniknie z horyzontu, przekonawszy się, że nie posiada dość sił żywotnych do samolistnej egzystencyi.

W gruncie rzeczy tak nie jest, odpowiednich sił, gdyby się ich chciało szukać, znalazłoby się dość, zapoczątkowanie jednak naszego samodzielnego politycznego bytu było z gruntu fałszywe i dziś mści się fatalnie. Ci, którzy wówczas dorwali się do steru i dotąd się przy nim utrzymują uwierzyli w to, że są wielkimi mężami stanu, rzeczywistość jednak okazuje, że są to zera strzelające jedno głupstwo po drugiem i nie dające sobie wytłómaczyć, że miejsce ich nie tam, dokąd się z biegiem losów dostali. Każde stronnictwo ma na sercu i języku oczywiście tylko konieczności państwowe, za takie jednak uważa tylko te, które jemu mogą przynieść korzyść. Tak było naprzykład z reformą rolną, która, choć dla organizmu państwowego bynajmniej nie korzystna, została przecież uchwaloną, ponieważ różnego rodzaju ludowcy zapowiedzieli swym wyborcom, że im dadzą ziemię, starali się też postulaty swe przeforsować, a po parli ich przytem socyaliści, choć wiedzieli, że działają na niekorzyść mas robotniczych zgnieskowanych w większych środowiskach handlowo-przemysłowych w miastach. Ale trudno, musieli oni być wtedy ze sobą „jedna graba", aby potem mieć chłopów na swe zawołanie.

Ci wiedzą przynajmniej, do czego dążą i postępują konsekwentnie w obranym raz kierunku, pez względu na to, czy on dobry, czy zły. Także i narodowa demokracya utrzymuje się stale w swej roli energicznego zwalczania wszystkiego co bodaj trochę trąci Belwederem, dziwną zmienność pokazują natomiast niektóre grupy, jak naprzykład K. P. K., z których postępowania wynika jasno, że widocznie nie oryentują się dość jasno w sytuacyi i nie wiedzą poprostu, co czynią. Pokazuje się, że można być bardzo dobrym kupcem, znawcą win, nie daje to przecież kwalifikacyi do odgrywania roli wielkiego męża stanu, mającego rozstrzygać w kwestyach pierwszorzędnej dla kraju doniosłości. Klub Pracy Konstytucyjnej wziął sobie za zadanie zajęcie stanowiska w polityce, przyrównywanego do języka u wagi, nie udało mu się jednak w zupełności co zamierzał. Z występami jego łączono nadzieje, że przyczyni się do zażegnania lub choćby tylko osłabienia konfliktów, tymczasem każdy jego krok był raczej tylko dolewaniem oliwy do ognia.

Śmiać się poprostu chce i nie wierzy się własnym oczom, gdy się czyta sprawozdania sejmowe i dowiaduje z nich, że ci sami, którzy przyczynili się do obalenia gabinetu Ponikowskiego, dziś najbardziej go żałują, ale nie jest wykluczonem, że, gdyby tak przypadkiem powierzono panu Ponikowskiemu znowu złożenie gabinetu, niebawem zmienili by zdanie i — jak dziś żałują — ruszyliby ostro przeciw niemu, atakując go na całej linii. Aby u nas nastał bodaj względny pokój, należałoby utworzyć tyle gabinetów, ile jest stronnictw, każdy z nich mógłby urzędować tydzień aby ustąpić, miejsca następnym. Byłaby rozmaitość, nie byłoby się narażonym na ataki innych stronnictw, które trzymałyby się w rezerwie z obawy, że to samo, jako odwet, spotkać może ich gabinet, gdyby się po tygodniu lub po dwu znajdzie u steru. Jest to jednak tylko pobożne życzenie, nasze stronnictwa są bowiem tak zazdrosne względem siebie, iż przeciwników swoich niechętnie widziałyby u steru bodajby przez tydzień, wychodząc z założenia, każde z osobna, że tylko ono powołane jest do odegrania wybitnej roli.

Ostatnie przesilenie gabinetowe sprzykrzyło się nawet i tym, którzy wogóle polityką się nie zajmują, a przebieg jej śledzą jedynie z musu, nie mogąc o niczem innem czytać, skoro cała nasza prasa podzieliła się na dwa obozy: Korfancistów i Antikorfancistów i wymyśla sobie wzajemnie, wszystkie inne sprawy spychając na drugi plan. Odbywa się to u nas w sposób bardzo familijny, wyrażenia: matołek, idyota, stary dureń, piernik zyskały sobie u nas prawo obywatelstwa nie tylko w rozmowach potocznych, ale także w prasie i Sejmie. Jest to dowód poufałości, z jaka stronnictwa odnoszą się do siebie.

Ostatecznie w sobotę, dnia 29. lipca, kandydaturę Korfantego zlikwidowano, a mandat utworzenia nowego gabinetu poruczono prof. Julianowi Nowakowi z Krakowa. Wybór ten uważamy za bardzo trafny, nie tylko dlatego, iż dotąd na taką mnogość w Polsce Nowaków nie było dotąd w gabinecie ani jednego, lecz przedewszystkiem z tego powodu, iż, jako profesor weterynaryi może się w sferach naszych polityków okazać bardzo pożytecznym, szerzą się bowiem między niemi najróżnorodniejsze choroby stadne, którym należałoby już raz kres położyć.

Kursy uzupełniające dla nauczycielstwa szkół powszechnych.

(Do illustracyi na str. 3.).

Obecna nowoczesna polska szkoła powszechna wymaga dokładnego zapoznania się z nowemi kierunkami nauki. Dlatego władze szkolne urządzają w każdym powiecie kursy uzupełniające dla nauczycielstwa szkół powszechnych.

Celem takich kursów jest podawanie nauczycielstwu wiadomości rzeczowych i wskazówek metodycznych z przedmiotów wchodzących do zakresu nauki szkół powszechnych w związku z nowymi programami naukowymi (ministeryalnymi). Potrzebę udzielania tych wiadomości odczuwał ogół nauczycielstwa, o czem świadczy wymownie liczna frekwencya i piękne wyniki pracy kursistów.

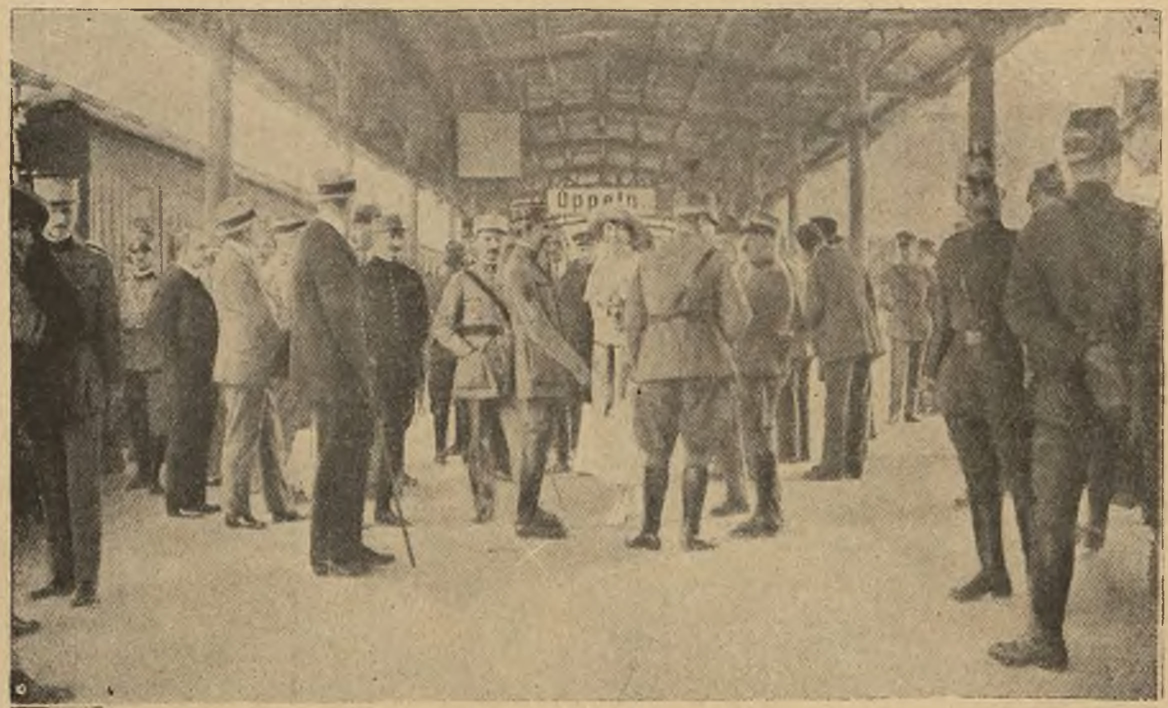
W roku szkolnym 1921/2 odbyły się takie kursy w powiecie stryjskim i żydaczowskim pod kierownictwem inspektora szkolnego p. Ludwika Tarasa ze Stryja a mianowicie: *a)* Kurs robót ręcznych w Stryju, Żydaczowie, Rozdole i Żurawnie, *b)* Kurs rysunków i śpiewu w Stryju, *c)* Kurs koszykarski w Żurawnie.

Po każdym kursie urządzono publiczną wystawę prac kursistów, którą zwiedziła miejscowa ludność i nie szczędziła pochwał pod adresem polskich władz szkolnych.

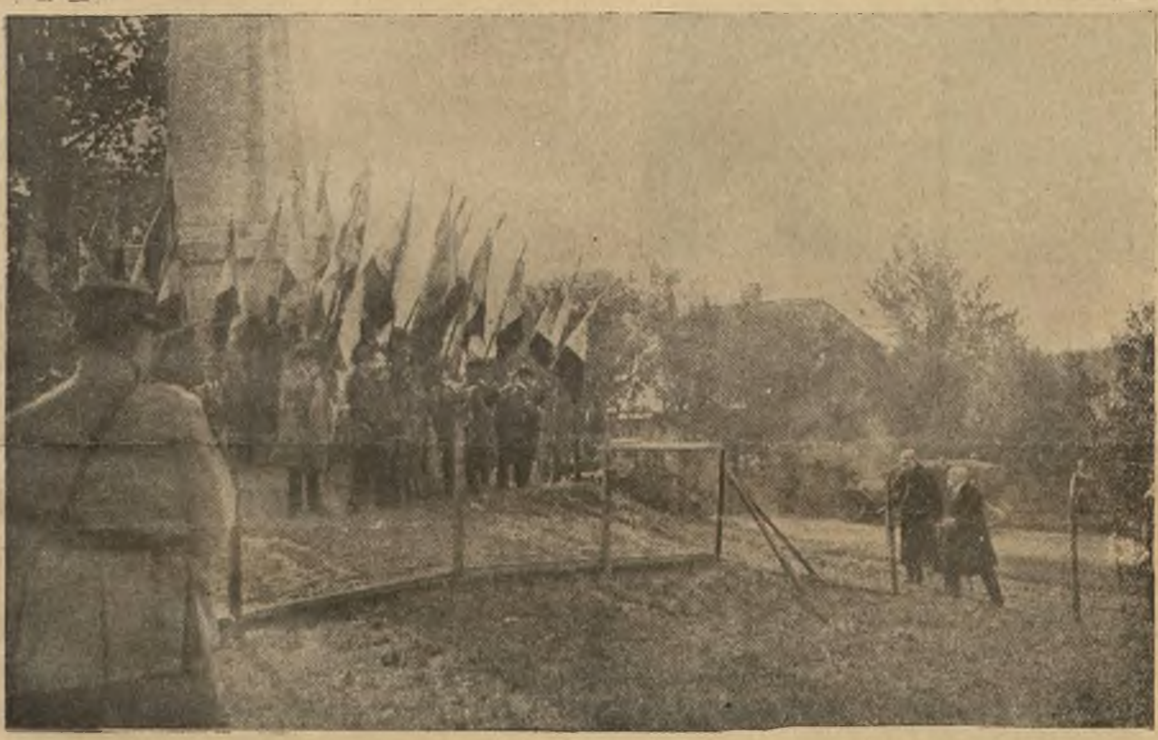
Wypada zaznaczyć przy tej sposobności, iż obecna metoda nauczania w naszych szkołach różni się znacznie od dawniejszej. Oczywiście możemy tutaj brać pod uwagę jedynie szkolnictwo polskie na obszarze byłego zaboru austryackiego, które posiadało pewną autonomię, gdy natomiast w innych zaborach nie istniało ono zupełnie. Dawny system, trącący jeszcze bardzo średniowiecznym scholascytyzmem, należy już Bogu dzięki do przeszłości, miejsce jego zajął kierunek nowy, bardziej postępowy, uczący nie tylko czytać, pisać i rachować wedle zatwierdzonych przez c. k. Radę Szkolną krajową prawideł, ale także myśleć i pracować praktycznie. Od najniższego typu naszej szkoły prowadzi się naukę w ten sposób, aby młodzież do nauki zachęcić, nie zaś odstręczać ją od niej, jak to było poprzednio, gdy wszystko odbywało się wedle urzędowego szablonu, przewidującego niejednokrotnie z góry nawet i to, ilu uczniów, w której klasie i z jakiego przedmiotu nie powinno wykazać należytego postępu.

Nowoczesny system nauczania nazwałby może i nieraz nazywa pedagog starej daty zabawą, nie zaś uczeniem, nie mogąc tego zrozumieć, co rozumieli nawet i starożytni, że i zabawa może uczyć i to nieraz skuteczniej, niż martwe prawidła gramatyczne.

Nowa szkoła daje daleko więcej sposobności do rozwoju indywidualności jednostek, gdy natomiast stara zabijała ją w zarodku i podciągała wszystkich pod jeden strychulec. Płonne także są obawy niektórych, jakoby nowy system wpływał ujemnie na wpojenie w młodzież systematyczności, zamiłowania do porządku i osłabiał znaczenie nauki, gdy on przeciwnie, ułatwiając ją, czyni ją tem przyjemniejszą i tem dostępniejszą dla najszerszych sfer.



Odjazd jen. Le Ronda z Górnego Śląska: Jenerał Le Rond (x) w towarzystwie pani de Marinis, żony włoskiego delegata do Komisyi Międzynarodowej, na dworcu kolejowym w Opolu w dniu 9 lipca b. r.



Pierwsza ofiara wojny światowej: Przybycie prez. min. Poincare'go na uroczystość odsłonięcia w Joncherey pomnika kaprala francuskiego Peugeota, który w dniu 2 sierpnia 1914. padł od kuli niemieckiej.

Ludożerstwo w Rosyi.

Osławiona gospodarka sowiecka, na której tuczą się jednostki, stojące u steru, a milionami giną z jej powodu masy ludności, doprowadziła kraj, niegdyś tak bogaty, do ostatniej nędzy. Setki tysięcy morgów najżyźniejszej ziemi leżą dziś odłogiem, nikt nie chce zabierać się do ich uprawy, wiedząc o tem, że plony dostaną się potem w niepowołane ręce. Następstwem tego głód, którego pastwą stały się już miliony, a dalsze oczekują z rezygnacyą swego losu. Wszystkie środki zaradcze, jakie dotąd zastosowano, nie odniosły należytego skutku, akcya ratunkowa spotyka się z trudnościami ze strony rządów sowieckich, które żądają wprawdzie pomocy świata, rozdział jej chciałyby jednak ująć w swe ręce aby mieć jeden więcej środek podtrzymania swego upadającego coraz bardziej znaczenia.

Nic też dziwnego, że w tem piekle bolszewickiem ludożerstwo stało się czemś zupełnie zwykłem, zgłodniałe otoczenie oczekuje z niecierpliwością na zgon kogoś ze swych najbliższych, aby bodaj chwilowo zaspokoić głód mięsem nieboszczyka. Stało się to w Rosyi bolszewickiej czemś tak zwykłem, iż władze sowieckie nie uważają tego za przestępstwo, podlegające karze, lecz jedynie za zboczenie umysłowe. Urzędowe „Izwiestia“ donoszą, że ustanowioną została specyalna komisya dla badania ludożerców rosyjskich, pod wzglę-



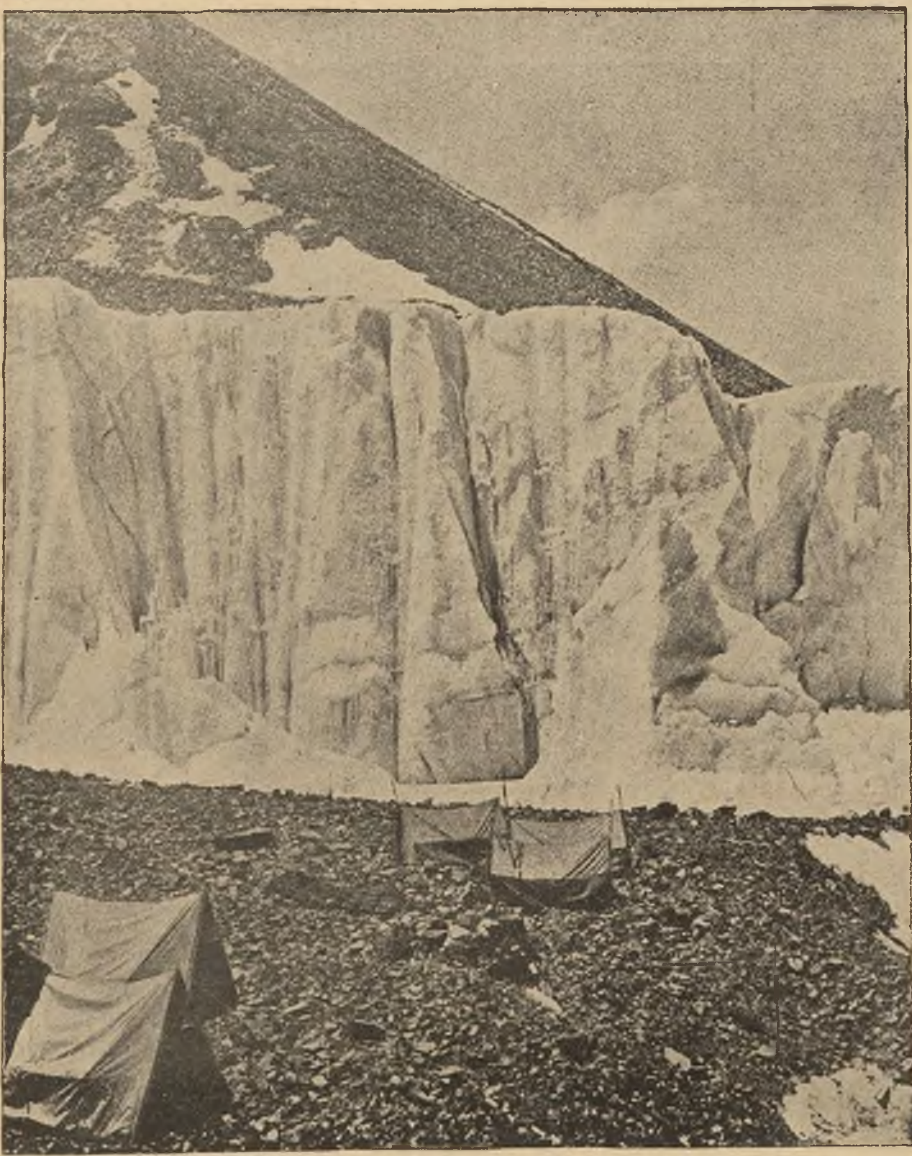
Ludożerstwo w Rosyi: Grupa mieszkańców gubernii saratowskiej obok zwłok, których mięsem ratowali się od śmierci głodowej.

dem ich poczytalności. Jeden z rosyjskich profesorów psychiatrów oświadczył, że należy osoby te uważać za niepoczytalne i dlatego też władze rosyjskie postanowiły zwalniać ludożerców od odpowiedzialności sądowej.

O czemś zupełnie podobnem donosi paryski *L'Eclair*, wzmianka zaś jego dotyczy nie osoby należącej do gminu, lecz do inteligencyi. Oto pewna Rosyanka, która niedawno znalazła się w Paryżu, wobec swoich znajomych opowiadała:

„Trzydzieści dwie osoby z mojej rodziny zostały powieszone lub rozstrzelane. Ja uciekłam sama, już nie wiem jak po straceniu mego męża. Mam jeszcze w Rosyi brata bratową i troje dzieci, którzy nie mieli możności uciec i pozostali z naszym dziadkiem, zbyt starym, by odbyć podróż. Umierają z głodu i jedzą odpadki, które zbierają przed koszarami czerwonej armii. Ale w tej chwili wiem, że nie będą głodni przez tydzień: dostałam wiadomość, że dziadek umarł?"

Oznaczało to poprostu w ustach tej bladej, zrezygnowanej na wszelkie okropności kobiety, że trup dziadka będzie przez rodzinę zjedzony.



Podjęcie na nowo starań o zdobycie szczytu Mont Everest: Gigantyczne lodowce utrudniające dostęp na szczyt. U stóp lodowca obóz ekspedycyi.

Święto narodowe we Francyi.

(Do illustracyi na stronie 4).

Dzień 14. lipca, rocznicę zburzenia Bastylii, obchodzi Francya, jako święto narodowe, z nadzwyczajną uroczystością. W samym Paryżu głównym punktem programu bywała wielka rewia wojsk na polach Longchamps. W czasach wojennych i powojennych odbywały się one rzadko i tylko w miniaturze, pierwszą, urządzoną wedle dawnych tradycyi, była tegoroczna, którą korespondent *Gazety Warszawskiej*, K. Smogorzewski, opisuje w następujący barwny sposób:

Nie dziesiątki, ale setki tysięcy tłumów przyglądało się rewii. Najgorliwsi zajęli swe miejsca jeszcze wieczorem, 13 lipca. A w dzień święta narodowego już od świtu na pole Longchamps ciągnęły tłumy pieszych, oraz długie korowody automobilów i autobusów. Entuzyazm był nie do opisania. Wiwaty przygłuszały muzykę gwardyi i muzyki pułkowe.

Rewia była manifestacyą mocy francuskiej, albowiem oprócz wszystkich rodzajów broni armii metropolii, wzięły także w niej udział wojska kolonialne, a więc Algierczycy, Marokańczycy, Senegalczycy, Malgasze (z Madagaskaru), Anamici. A w głównej trybunie, obok prezydenta Rzeczypospolitej i władz naczelnych Francyi, zajęli także miejsce cesarz Anamu Khaid-Dihn w otoczeniu swych mandarynów, oraz trzydziestu kilku szefów murzyńskich z Afryki francuskiej.

Oprócz wojsk kolonialnych, jak zwykle barwnych, cała armia francuska jest dziś błękitnoszara w swych mundurach „bleu-horizon". I nawet nikt ze świty prezydenta i ministrów nie włożył starego uniformu. Nikt oprócz tego, który pierwszy poprowadził w bój starą armię francuską, tego, który po raz pierwszy zwyciężył nad Marną — nikt, oprócz marszałka Joffre'a, który nigdy się z tradycyjnym „pantalon rouge" nie rozstaje.

Kiedy ten przegląd porównać z ostatnią rewią, jaka się na tem miejscu odbyła, to widać odrazu jak bardzo się różni armia obecna od armii przedwojennej. W roku 1914 piechota i kawalerya przeważała. Artyleryi było niewiele, a co było, to przeważnie sławne polówki 75 mm. Pamiętam, że trzy baterye dział 155 mm. (systemu Rimalho) były wówczas sensacyą ogromną. A dziś? Defilada oddziałów i wojsk technicznych trwała równie długo, jak defilada dywizyi piechoty i szarża kawaleryi. Oprócz baterыi dział wszelkiego kalibru, oglądaliśmy oddziały auto-mitraliez, auto-armat i wreszcie czołgów.

Zapomniałbym o wojskach lotniczych! Te ostatnie również brały udział w rewii, ale w miejscu dla nich odpowiedniem, to znaczy — w powietrzu. Przed rozentuzyazmowanym tłumem „przedefilował" w ten sposób cały 34 pułk lotniczy, stacyonowany w Paryżu. Widzieliśmy więc eskadry aeroplanów wywiadowczych, obserwujących, polujących i t. p. Każda szybowała kluczem żurawim z szefem eskadry na czele. Widok to był zupełnie a la Verne lub Wells.

Atrakcyą rewii było wręczenie buław marszałkowskich trzem marszałkom już oddawna mianowanym, ale którym buław jeszcze uroczyście nie wręczono z powodu braku odpowiedniej okazyi. Marszałkami temi są: — Franchet d'Esperey, b. wódz wojsk międzysojuszniczych na Bałkanach; Fayolle, b. dowódca środkowej grupy wojsk francuskich w ostatnich latach wojny, oraz Lyautey, rezydent francuski w Marokku. Ten ostatni, z powodu choroby, nie mógł wziąć udziału w uroczystości. Więc prezydent Rzeczypospolitej udał się do jego mieszkania i tam mu buławę wręczył. Ma więc Francya dziś — wraz z Foch'em, Joffre'm i Petain'em — sześciu marszałków. Siódmym jest zmarły Galiéni, któremu tytułu tego udzielono na łożu śmierci...



Podjęcie na nowo starań o zdobycie szczytu Mont Everest: Szef i członkowie wyprawy.



Podjęcie na nowo starań o zdobycie szczytu Mont Everest: Przygotowywanie aparatów z tlenem dla członków wyprawy.

Pierwsza ofiara wojny światowej.

Ośm lat minęło od chwili wybuchu wielkiej wojny światowej, która zwłaszcza Europę pokryła setkami tysięcy mogił, a najpiękniejsze jej okolice

zamieniła w pustkowia, gdzie dziś jeszcze resztki gruzów i zgliszcz świadczą aż nazbyt wymownie o strasznym jej przebiegu. Zwłaszcza okolice którędy ciągnęła pierwotnie zwycięzka, a następnie cofająca się armia niemiecka, zamienione zostały w pustkowie, przypominające do dnia dzisiejszego czasy jej pobytu tamże. W prowadzeniu wojny poszli Niemcy wzorem średniowiecznych Hunnów, o których do dnia dzisiejszego powtarza się, że trawa nie porośnie, kędy przeszła ich stopa. Kierownictwo armii niemieckiej przez usta Hindenburga wypowiedziało się zupełnie otwarcie, iż im wojna bezwzględniej prowadzona, tem skuteczniejsza i krócej trwająca. Tak postępowali na froncie zachodnim, tego samego doświadczyło na sobie Królestwo Polskie, odczuła to także i była Galicya, choć na naszej ziemi występowali oni w roli sprzymierzeńców.

Z chwilą wybuchu wojny przystąpili Niemcy natychmiast do działań zaczepnych, aby zaskoczyć nieprzyjaciela, a patrole już w dniu 2. sierpnia 1914. starły się na terytoryum francuskiem, o dziesięć kilometrów od granicy z tamtejszemi pierwszemi placówkami, tworzącemi linię obronną. Pierwszą ofiarą, która padła w obronie Francyi w dniu 2. sierpnia 1914., był kapral Peugeot, ugodzony kulą rewolwerową dowódcy niemieckiej patroli konnych strzelców, porucznika Mayera.

Poległemu w obronie ojczyzny wystawiono w miejscowości Jenchery pomnik, a uroczyste jego odsłonięcie odbyło się w lipcu, przy licznym udziale wojskowości, delegacyi i ludności cywilnej. Uroczystość przybrała cechę manifestacyi politycznej, skierowanej przeciw Niemcom, a to przez przybycie na nią prezydenta ministrów Poincare'go.

W przemówieniu swojem Poincare zaznaczył, że działając pod wpływem rządu francuskiego naczelne dowództwo francuskie wydało rozkaz do żołnierzy wszystkich rodzajów broni, nieprzekraczania linii zakreślonej o 10 km. od granicy. W tej właśnie odległości od granicy zginął Peugeot, odpierając atak patrolu konnego nieprzyjacielskiego. Jestto jeszcze jeden dowód, że Niemcy rozpoczęli działalność zaczepną. Potwierdza to również rozkaz wydany do 5 pułku dragonów niemieckich, głoszący, że w razie mobilizacyi pułk ten ma wysłać patrole aż na terytoryum francuskie.

Odjazd jen. Le Ronda z Górnego Śląska.

Po załatwieniu formalności, połączonych z oddaniem Polsce i Niemcom przyznanych im części Górnego Śląska, skończyło się urzędowanie Międzynarodowej Komisyi, pozostającej pod przewodnictwem francuskiego jenerała Le Ronda, a rezydującego w Opolu jako najwyższa władza górnośląska. W skład Komisyi wchodzili prócz Francuzów Włosi i Anglicy. Francuzi starali się postępować przez cały czas pobytu na Górnym Śląsku jak najbezstronniej, Włosi i Anglicy natomiast okazywali zbyt otwarcie swe sympatye niemieckie. Ludność polska Górnego Śląska odnosiła się też do Francuzów z pełnem zaufaniem, gdy natomiast ze strony Niemców narażeni oni byli na ciągłe napady, które niejednokrotnie pociągały za sobą ofiary w ludziach.

Opuszczających Górny Śląsk żegnano też w rozmaity sposób. Ludność polska rozstawała się z Francuzami z żalem, Włochom i Anglikom życząc „szczęśliwej drogi" pod warunkiem jednak, aby tutaj więcej nie wracali. Górnośląscy Niemcy natomiast odetchnęli z ulgą, gdy pociągi kolejowe uwiezły z przed ich oczu wojsko francuskie, zbyt żywo przypominające im ich ostatnią porażkę.

Przewodniczący Międzynarodowej Komisyi jen. Le Rond, który w dniu 9. lipca b. r. opuścił Opole, był ze strony polskiej przedmiotem objawów szczerej sympatyi i uznania, jakie zdobył sobie swym taktem i bezstronnością. Tak sfery oficyalne polskie, jak i ludność, żegnały go z prawdziwym żalem, prosząc, aby czas pobytu na naszej ziemi pozostawił w jak najmilszej pamięci.



Na wiślanej plaży: Familijna kąpiel w nurtach Wisły pod Warszawą.



Na wiślanej plaży: Kąpiele słoneczne na brzegu Wisły pod Warszawą.

Na wiślanej plaży.

Widok, jaki w obecnej porze przedstawiają piaszczyste brzegi królowej rzek polskich, jest zupełnie inny, niż był dwadzieścia lub choćby nawet dziesięć lat wstecz. Czy to w Warszawie, czy Krakowie przestrzegano bardzo pilnie, aby każda płeć miała osobne miejsce do kąpieli i, broń Boże, pokazać się było mężczyźnie w pobliżu miejsca, przeznaczonego na kąpiel dla kobiet. Wywołało to gwałtowne poruszenie między amatorkami kąpieli, zanurzanie się aż po samą brodę we wodzie lub pospieszne okrywanie się prześcieradłami aż do chwili, dopóki czujne oko władzy bezpieczeństwa nie dojrzało „zbrodniarza" i nie usunęło go daleko od miejsca dlań zakazanego.

Te same jednak niewiasty, znalazłszy się w jakiejś miejscowości kąpielowej zagranicznej, czy to na wybrzeżach Adryatyku lub Bałtyku, dla nas najbardziej dostępnych, czy choćby na słynnem *Gänsehäufel* we Wiedniu, nie były tem bynajmniej zdziwione, ani zawstydzone, gdy obie płci pospołu używały przyjemności kąpieli, zwanych tam „familijnemi". Wiadomo dobrze, jak korzystnie działa na zdrowie kąpiel morska lub rzeczna, skuteczność jej podnosi w wysokim stopniu poddawanie ciała operacyom promieni słonecznych na rozgrzanym piasku. Chwile tutaj spędzone, należą do najprzyjemniejszych, zyskuje na tem zdrowie, czas wypoczynku na wydmie piaszczystej urozmaica wesoła pogawędka, nie brakuje także i bufetów, w których posilić można osłabione kąpielą ciało.

Ten zwyczaj wspólnych kąpieli, nie uchybiający w niczem względom obyczajności, a zwalczany jedynie przez nadmiernych purytanów, najczęściej obłudników, przeszczepiony został obecnie na nasz grunt, a piaszczyste brzegi Wisły najzupełniej się do tego nadają, zastępując bodaj w części nadmorskie plaże. I w Warszawie i w Krakowie zdobyły sobie wspólne kąpiele prawo obywatelstwa, jeśli tylko pogoda pozwala, rojno i gwarno na brzegach wiślanych, gdzie setki zmęczonych pracą mieszczuchów krzepią kąpielą wodną i słoneczną swe siły.

Podjęcie na nowo starań o zdobycie szczytu Mont Everest.

Angielska wyprawa, która w roku ubiegłym próbowała dotrzeć na najwyższy szczyt Himalajów, Mont Everest, nie osiągnęła jednak skutku, w roku bieżącym, gdy nastała odpowiednia pora, podjęła swe zabiegi na nowo.

Naszych taterników zainteresuje zapewne, z jakiemi trudnościami muszą walczyć „himalajarze". Poniżej podajemy niektóre szczegóły tej wyprawy, ogłoszone w pismach angielskich przez jednego z jej uczestników, p. Mallory.

Obecnie dotarto do wysokości 8.174 m., a aby ją osiągnąć, trzeba było urządzić trzy obozy, pierwszy na wysokości 5.000 m, na połączeniu wschodniej i głównej doliny Roughilo, drugi na 6.000 m, trzeci wreszcie u podnóża północnego Col („Nord-Col") wysokiego siodła górskiego, które łączy Everest z Chaugste na wysokości 6.400 m.

Pięcie się w górę od tych obozów jest niezwykle trudne i wyczerpujące. Charakter bowiem lodowców Everest jest niezwykły; składają się one z bardzo stwardniałego, czarnego lodu i mają na powierzchni szczeliny, trudne do zauważenia. Gdy tylko zniesiono dość żywności do trzeciego, najwyższego obozu, ruszyła ekspedycya ku Nord-Col. Pogoda była przykra; przedewszystkiem zaś dokuczało zimno. Podczas bowiem gdy na wysokości

pierwszego obozu temperatura wynosiła 0, to na wyższych obozach spadła ona do —30 C. Toteż wzmogły się trudności transportowe. Atoli pokonano je szczęśliwie i w niedługim czasie udało się dojść do wysokości 7.600 m, bez użycia aparatów z tlenem. Ruszono następnie ku olbrzymim, białym murom Nord-Colu. Na najtrudniejszych miejscach umocniono dwie liny, każdą po 160 m długości, tak by tragarze mogli bezpiecznie postępować.

Kiedy przekroczono najwyższą część siodła, natrafiono na szeroką rozpadlinę, której bez pomocy drabin niedało się ominąć. Trzeba było tedy szukać innej drogi i znaleziono ją na grzbiecie siodła. Wobec jednakże coraz gorszej pogody i zbyt dokuczliwego zimna ekspedycya powróciła do najbliższego obozu, po to by 19 maja rozpocząć znów dalsze wysiłki zdobycia tajemniczego i niedostępnego szczytu. W kilka dni potem wśród obiecującej pogody, lecz niesłychanego zimna ekspedycya ruszyła znowu w drogę. Następnego już dnia rozchorowali się tragarze, 4 było niezdolnych do dalszej drogi. Pozostałych 5 członków osiągnęło Nord-Col. Mimo wściekłego mrozu nie rozbijano obozu z obawy przed zamarznięciem tragarzy, którzy i tak poodmrażali uszy i ręce. Następnego dnia spadł śnieg, zmuszając podróżników do wielkiej czujności ze względu na zdradliwe szczeliny skalne, i opuźniając przez to pochód. Dalsza droga zależała już od wytrzymałości płuc. Spodziewano się, iż jeszcze przy głębokim oddychaniu uda się dotrzeć na widoczne już w pobliżu północne ramię Everestu. Zanotowano wtedy wysokość 7.900 m. Jednakże z powodu zapadającej ciemności, jakoteż zupełnego wyczerpania sił tragarzy wyprawa musiała znów zawrócić do obozu.

Dodać należy, że ekspedycya na Everest przedstawia niezwykle trudne i żmudne przedsięwzięcie. Każdej chwili trzeba być przygotowanym na niebezpieczeństwo, gdyż śnieg zasypuje rozpadliny, kryjąc niedojrzane przepaści, grozi tu także strata drogi powrotnej. Na podróżników czyha mróz, brak tlenu, ognia i tysiące niespodzianek niezwyłych rozmiarów, znanej tylko w drobnej części i nikłych rozmiarach naszym turystom. Zaznaczyć trzeba, że trzech uczestników ekspedycyi było już na wysokości 8.200 m. Osiągnięcie takiej wysokości wymaga nie tylko treningu w chodzeniu po górach, ale i treningu w oddychaniu, trybie życia itd. Wytrzymałość, z jaką ostatnia ekspedycya znosi trudy, rokuje najlepsze nadzieje zdobycia wyniosłego szczytu.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego